MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 27. WARSZAWA, 19 CZERWCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

BOGACTWO NARODU

JAK w czasie wojny, sprawy polityki międzynarodowej oraz sprawy wojskowe, jak po odbudowaniu państwa i nastaniu pokoju sprawa jednolitego, narodowego charakteru państwa, tak w okresie dzisiejszym główną uwagę skupiają na sobie zagadnienia gospodarcze.

Dla ruchu narodowego, jako dla myśli politycznej oraz dla politycznego działania, są to zagadnienia nowe, pomimo iż liczy wśród swoich przywódców wybitnych przedstawicieli nauk ekonomicznych. Pisma ich winny stanowić punkt wyjścia i podstawę rozumowań politycznych, ale świat pojęć i wyników nauki dzieli od życia praktycznego pewna przestrzeń, której przebycie bez zboczenia na manowce jest pracą niełatwą i wymagającą czasu. Musi ona wszakże być dokonana, bo związanie obu dziedzin wyjdzie wzajemnie na korzyść: nauka odnajdzie bogate pole spostrzeżeń i motywów, a inicjatorska praca publicystów i polityków uzyska czynnik kontroli i równowagi, szerokie perspektywy porównawcze, które uchronią przed marnotrawnym wysiłkiem i gubieniem się w labiryncie nowych zagadnień.

Polski kierunek narodowy, stojąc wobec problemów gospodarczych, nie ma zadania łatwego. Z jednej strony stają mu naprzeciw pojęcia, urobione przez najwpływowsze doktryny ekonomiczne, powstałe w 18 wieku wojującego racjonalizmu, z przesłanek obcych i wrogich myśleniu narodowemu. Są to ideje materjalizmu indywidualistycznego, rozwinięte w Anglji przez Adama Smitha, oraz z tego samego pnia powstały kolektywny materjalizm, skodyfikowany w Niemczech, głównie przez Żydów. Pokrewne te ideje tkwią u podstaw zarówno angielskiego liberalizmu jak i socjalizmu; obie te doktryny dokonały bardzo wiele w dziedzinie gospodarczej, wpłynęły głęboko także na potoczne myślenie ludzkie w całym świecie, i kierunek narodowy, aby zapanować nad tą dziedziną, musi określić swój stosunek do tych zdobyczy, wyrosłych z przesłanek mu wrogich, i stoczyć z niemi walkę nie tylko na terenie naukowym, co zostało już w dużej mierze uczynione, ale także w dziedzinie pojęć codziennych i praktycznych.

I z drugiej strony mamy krytykę naukową wymienionych szkół ekonomicznych i reakcję przeciw nim, istniejącą nie od dziś w rozmaitych krajach. Przed stu blisko laty, Niemcy, tworząc swoją niezależność gospodarczą, uznali za konieczne przeciwstawić się doktrynom angielskim i powstała stąd w ekonomice ich szkoła historyczno-narodowa. Współcześnie, w wielu krajach powstają szkoły ekonomiczne, względnie nowe idee gospodarcze, które obracają się przeciw materjalizmowi liberalno-kolektywnemu i wychodzą z pokrewnych narodowych przesłanek. Także wobec tego modnego w naszej polityce i bardziej czytanego, niż polskie naukowe prace, dorobku trzeba zająć stanowisko i przemyśleć te wyniki, a to zadanie bodaj że jest trudniejsze: nie można bowiem brać na wiarę tego, co napiszą w innych krajach — we Włoszech, w Niemczech czy gdzieindziej—tylko z tej racji że wyszli z założeń ideowych podobnych, a to przedewszystkiem dlatego, że położenie każdego narodu jest inne i kierunki narodowe w poszczególnych krajach, także jeśli chodzi o sprawy gospodarcze, nie mogą polegać na naśladownictwie i nie będą identyczne. Przeto wyniki obcych szkół narodowych, ułatwiając w pewnym sensie pracę własną, tworzą zarazem niebezpieczeństwo suggestji nieuzasadnionej, o ile nie zostaną przetrawione u siebie, przemyślane samodzielnie. I w tej dziedzinie szczególnie konieczna jest kontrola i krytycyzm, oparty o naukowe podstawy, które obronią przed pochopnością do zachwytu nad ideami, co w Polsce nie miałyby sensu lub nad byle dowcipnym pomysłem albo zręczną formułą.

Jest rzeczą pierwszą i najważniejszą, aby w całości swojego myślenia politycznego, wśród ogółu na świat poglądów odpowiednio sprawy gospodarcze umieścić i odpowiednio a mocno z innemi powiązać, tak, aby poglądy na tę dziedzinę nie tworzyły jakiegoś ciała odrębnego, zasilanego z ze-

wnętrznych, odrębnych źródeł, ale stanowiły część całości i ulegały ewolucji w związku z całym światem pojęć narodowego prądu myśli. Dotąd bowiem spotkać można często narodowca, który o sprawach gospodarczych wywodzi jak liberał albo socjalista, nie rozumiejąc wcale, że niema logicznej zgody pomiędzy temi jego ideami, a całością narodowego poglądu na życie. Nie jest to wcale dziwne, gdyż kształcąc się napotkał zapewne na takiego właśnie ekonomistę, a następnie nikt mu nie pomógł w rewizji pojęć, nie podał literatury naukowej bliskiego mu kierunku, nie powiązał jego idej gospodarczych z politycznemi i moralnemi, względnie nie podporządkował ich ideom politycznym i moralnym.

Punktem wyjścia rozumowań o sprawach gospodarczych muszą być dążenia ogólne i naczelne, ponieważ życie jest jedno i tworzy całość, w której poszczególne dziedziny wiążą się według określonego układu oraz hierarchji. Dążenie do Wielkiej Polski, do siły moralnej i liczebnej narodu, pociąga za sobą konsekwencje w dziedzinie gospodarczej i w tejże dziedzinie napotyka na ważne, nieodzowne warunki swego spełniania. Materjalista powiedziałby, że wielkość polega właśnie na bogactwie, dążenie do wielkości—to dążenie do bogactwa, Polska wielka — znaczy bogata. My tego nie powiemy, ale też nie dalibyśmy sobie wmówić, że bogactwo jest dla wielkości rzeczą obojętną. Wiemy bowiem, że obronność kraju, prócz dzielności żołnierza, wymaga środków materjalnych, technicznych, że na wypadek wojny, albo innej katastrofy, lub okresu trudności konieczne są zasoby dóbr w tej czy innej formie do przetrwania, że dalej przyrost ludności, czyli pożądany wzrost siły liczebnej narodu, wymaga równoległego zwiększania wytwórczości gospodarczej. Zaś warunkiem mnożenia sił produkcyjnych jest znów usprawnianie i polepszanie albo przemiana i tworzenie nowych warsztatów produkcji, co znowu wymaga także zasobów, jakkolwiek nazwalibyśmy je — kapitałem czy inaczej — i w czyichkolwiek znajdowałyby się rękach (byle nie czynnika obcego), ale muszą to być środki do życia przez kogoś wytworzone a niezużyte, któreby pozwoliły na dokonanie tych prac, powiększających siły wytwórcze kraju. I wiadomo wreszcie, że to wszystko wyżej wymienione, te konieczne, materjalne środki życia i rozwoju narodowego, to są właśnie rzeczy gospodarcze, że obfitość i pomyślność w tej dziedzinie nazywa się dobrobytem i bogactwem.

Wzrost bogactwa przeto, czyli powiększenie sił wytwórczych swego terytorjum, mnożenie zasobów i sprawność warsztatów produkcji są to niewątpliwie warunki pomyślnego wzrostu siły liczebnej narodu i warunki powiększania się jego politycznej, ogólnej potęgi. I wychodząc z założenia, że na naszym obszarze między Niemcami a Rosją, przez przyrodę od obu tych sąsiadów nie bronionym, jest miejsce tylko na państwo silne, musimy poświęcić naszą uwagę także gospodarczym warunkom jego rozwoju i wielkości. — Minęły czasy potrzeb tak niskich, ludności tak rzadkiej i techniki pierwotnej, że rolnictwo mogło być jedyną podstawą utrzymania a sprawy gospodarcze nie były wielką kwestją polityki, i minęły czasy beztroski gospodarczej, kiedy żyć było można z dobra narodu ujarzmionego albo z pracy niewolników. Dzisiejszy naród zdany jest na własną pracę na własnej ziemi. Od jego organizacji politycznej, od siły moralnej, od rozumu i energji zależy, co z tego wykrzesze i czy dobrym okaże się gospodarzem.

Stwierdzając, że narodowi, idącemu ku wielkości, winien towarzyszyć równoległy wzrost bogactwa, należy dodać kilka uwag uzupełniających.

Przedewszystkiem chodzi o moralne stanowisko bogactwa w hierarchji wartości: Z narodowego punktu widzenia nie można go traktować, jako naczelnego celu, istoty rzeczy, od której wszystko jest zależne. Ale natomiast nie obejdzie się bez bogactwa, czyli siły gospodarczej, pomyślność ogólna państwa. Jest więc ono koniecznym warunkiem i środkiem politycznej potęgi oraz wzrostu liczebnego narodu.

Powtóre, należy ustalić, że siła gospodarcza społeczeństwa nie zależy tylko od ilości posiadanych zasobów albo natężenia sił wytwórczych. Już z samego założenia naszego wynika, że wartość posiadają dobra gospodarcze o tyle, o ile są one czynnikiem pomyślnego rozwoju narodowego. Bogactwo narodu tedy zależne jest nietylko od stanu posiadania oraz wytwarzania dóbr, ale od ich rozdziału pomiędzy warstwy wytwórcze, stany, zawody i wreszcie jednostki. Dlatego istotnym dla spraw gospodarczych jest ustrój prawny, polityczny i prywatny, organizacja społeczna i wreszcie polityka państwa.

I dalej należy stwierdzić kategorycznie, że zasada bogactwa narodu nie znaczy bynajmniej, zwłaszcza w dzisiejszym okresie niejasnego horyzontu perspektyw gospodarczych, że jednostkom wywiesza się hasła materjalizmu i użycia. Tworzenie zasobów, koniecznych dla siły gospodarczej, dokonywać się może wśród obecnych stosunków nikłej rentowności wszelkich warsztatów produkcji oraz niskiego poziomu płac, jedynie drogą wyrzeczenia się dzisiejszego na rzecz lepszego jutra: dla przyszłych pokoleń i przyszłej potęgi.

I dlatego hasło bogactwa i siły Polski w przyszłości — musi być dla dzisiejszego pokolenia hasłem wyrzeczenia się, oszczędności, obyczajów spartańskich.

ZDZISŁAW STAHL

O LUDZKOŚCI I „LUDZKOŚCI"...

NALEŻY stwierdzić, że Żydzi, występując na zewnątrz w obronie swoich interesów, używają wyrażenia — ludzkość.

Kilka przykładów.

P. Szalom Asz zabierając głos na akademji, urządzonej (dnia 15.VII.1930 roku) w Warszawie na jego cześć przez społeczeństwo żydowskie, z racji 50-lecia jego urodzin, w ten sposób zakończył swoją mowę:

„Słowo Izrael ma głębokie znaczenie — ludzkość, co jest identyczne z pojęciem człowiek. Jeżeli ja kiedykolwiek coś uczyniłem, jeżeli ja nadal pragnę żyć i pracować, pochodzi to z „miłości do Izraela". („Hajnt" nr. 288, 1930 r.).

Gdy w lipcu 1928 r. lord Artur J. Balfour, oficjalny inicjator oddania Palestyny do dyspozycji żydostwa, obchodził uroczystość 80-lecia swoich urodzin, Centr. Kom. org. syjon. w Polsce wysłał do niego, do Londynu, depeszę:

„Miljon polskich Żydów, przeniknętych głębokiem szacunkiem i wdzięcznością, życzy Panu jeszcze długich lat owocnej pracy dla sławy Anglji i dla korzyści ludzkości" („Hajnt" 178/1928 r.).

P. Jakób Wassermann w swoim referacie o żydostwie, wygłoszonym w Reichenhall we wrześniu 1928 r. wyraził się w ten sposób:

„Gdyby. Żydów wycięto, gdyby ich wypędzono, gdyby ich imię starto z tablic historji, to byłoby wszystko mniej fatalne dla ludzkości kulturalnej, niż gdyby Żydzi sami zrzekli się tej roli, którą oni, wskutek niezbadanego przeznaczenia, odgrywali dotąd na świecie..." (Ż. A. T.).

Te „fatalne" następstwa dla „ludzkości kulturalnej" musiałyby, w mniemaniu referenta, nastąpić wtedy, gdy Żydzi skupili się na odrębnem terytorjum, np. w Erec Izrael... Nie trudno domyśleć się, dlaczego? Żydostwo musiałoby wówczas stracić swoją dotychczasową władzę nad narodami rdzennemi... Dlatego też Żydzi wcale nie mają zamiaru wynosić się masowo do Erec Izrael, chcą ten kraj tylko dostatecznie „nasycić", aby ożywić „jądro własnej religijnej twórczości". W ten sposób

...to ożywienie się energji religijnej twórczości w Erec Izrael okaże się zbawieniem dla całego żydostwa. Syjon, w myśl przepowiedni proroczych, będzie na nowo ogniskiem światła dla Izraela, a może i dla ludzkości". (Prof. rab. Mojżesz Schorr: „Erec a Galuth" — w „Kalendarzu Inform. „Naszego Przeglądu" 1927 r.", str. 116).

Myśli te są wypowiadanie nietylko przez prezesów, profesorów i rabinów, lecz również i przez „niewinnych" politycznie artystów żydowskich. Znany np. skrzypek żydowski, a jednocześnie polityk żydowski p. „Bronisław" Huberman, mówiąc o swych wrażeniach z Erec Izrael redaktorowi pisma żargonowego w Paryżu, m. in. wyraził się:

„Uważam, że robotnicy żydowscy w Erec Izrael spełniają duże zadanie nietylko dla żydowskiej siedziby narodowej, lecz wogóle dla świata... Kto wie, czy to, co młodzi Żydzi stwarzają obecnie w Erec Izrael, nie jest nowem posłannictwem dla ludzkości?" („Hajnt" 35/1931 r.).

Dnia 27 sierpnia 1928 r., odbywało się w Berlinie posiedzenie kongresu unji międzyparlamentarnej, na którem rozpatrywano sprawę emigracji. Obecny na niem p. dr. Meisel, delegat żydowskiej org. „Bund" i członek sejmu łotewskiego, poruszając potrzeby ludności żydowskiej, mówił:

„Niemożliwe jest rozwiązanie społeczno-ekonomicznych trudności bez pomocy emigracji. Dotyczy to szczególnie mas żydowskich w Europie Wschodniej, które przeżywają ciężki kryzys ekonomiczny, tak że odpływ dużej części mas żydowskich jest absolutną koniecznością. Mówca kończy słowami: wzywam parlamentarystów całego świata: ogłoście wszędzie wolność emigracji i imigracji, gdyż cały świat winien tworzyć ojczyznę ludzkości". („Moment" 201/1928 r.).

Słowem wszędzie „ludzkość" — nawet bardzo często przez duże „L",—a chodzi w istocie o interes żydostwa.

I jak, wobec tego, muszą kształtować się stosunki w świecie, czyli w krajach rozproszenia żydowskiego, aby żydostwu powodziło się możliwie najlepiej? Należy jak najwięcej starać się o rozwój „ludzkości"... I w tym kierunku idzie rozwój stosunków politycznych w świecie, zwłaszcza od okresu wojny światowej.

Kiedy w lecie 1928 r. organizacja żydowska w Paryżu, pod nazwą „Namiot Jakóba" urządziła na cześć wodza światowego żydostwa, p. Louis Marshall'a z N.-Yorku, uroczyste przyjęcie, wziął w niem udział również prezes org. „Ort", p. Hajlpern, który powiedział:

„Po wojnie prawa ludzkości postawiono ponad prawa państw. Żydostwo nie może kwitnąć, jeżeli nawet jakakolwiek grupa Żydów w jakimś kraju jest ograniczona w swoich prawach. Dlatego też powinno i musi się mieszać do wewnętrznych stosunków innego państwa na rzecz interesów Żydów. Marshall to zrozumiał i przeprowadził, że musi być zawarty traktat o ochronie mniejszości narodowych". („Hajnt" 166/1928 r.).

Po wojnie prawa „ludzkości" postawiono ponad prawa państw... Dlaczego? — Bo żydostwo musi „kwitnąć".. Prawa Żydów nie mogą być ograniczone. Jakie prawa?— Prawa, które wytwarzają dla narodów rdzennych odpowiednie obowiązki znoszenia okupacji żydowskiej w ich krajach ojczystych.

Bo nie trzeba myśleć, że te obowiązki ciążą jedynie na krajach, związanych traktatem o ochronie mniejszości.

Sam fakt, że p. Louis Marshall „przeprowadził" na konferencji pokojowej w Wersalu ów traktat, wskazuje, że obowiązkom wobec żydostwa ulegały również i państwa „zwycięskie"...

Czy pojęcie „ludzkości", którem operuje żydostwo, nie jest zatem pojęciem oderwanem od rzeczywistości, od życia, od potrzeb, zwłaszcza narodów rdzennych?

Ludzkość wszak składa się z poszczególnych narodów i można mówić o zachowaniu „praw ludzkości" tylko wówczas, gdy będą zachowane prawa poszczególnych narodów, jako składowych części tej ludzkości. Ludzkość tylko wówczas może rozwijać się, gdy będą rozwijały się pomyślnie składowe jej części, czyli poszczególne narody, a więc przedewszystkiem narody rdzenne, wobec których naród żydowski stanowi znikomą ilość.

A kiedy te narody mogą rozwijać się pomyślnie?

Wtedy tylko, gdy w ich krajach ojczystych nie będą naruszone ich „prawa gospodarzy", inaczej mówiąc, gdy ich zwierzchnictwo w żadnej dziedzinie nie będzie naruszone, czyli wtedy, gdy narody te będą mogły w swoich krajach ojczystych urządzać swoje życie według własnych chęci i własnych potrzeb w dziedzinach: politycznej, gospodarczej i kulturalno-religijnej.

Zwierzchnictwo narodów rdzennych we wszystkich dziedzinach życia już dawno zostało naruszone na rzecz żydostwa; ale po wojnie światowej i po przewrocie socjalistycznym w Rosji, te obowiązki, które ono zdołało narzucić narodom rdzennym przez swoje „prawa", dosięgły swego *maximum*.

Narody rdzenne uginają się pod ich nieznośnym ciężarem, jakkolwiek żydostwu się zdaje, że idąc po tej linji, naruszania zwierzchnictwa narodów, można osiągnąć erę wolności ludzkości...

Ludzkość, w wyobraźni żydowskiej, pokrywa się z żydostwem. Żydostwo zastępuje ludzkość... Wszak żydostwo kieruje obecnie losami świata. Czy monarcha nie jest przedstawicielem ludności swego państwa?

Ale, dlatego też pojęcie „ludzkość", którem operuje żydostwo, jak to wynika z przytoczonych wyżej przykładów, jest pojęciem oderwanem od życia, jest, wobec tego, pojęciem bez treści, jest pojęciem bez znaczenia dla narodów rdzennych, jako narodów normalnych i zdrowych.

To pojęcie jest realne tylko w psychice żydowskiej, jako w psychice wykoszlawionej samogwałtem djaspory, a więc w psychice chorej i patologicznej. Ludzie normalni z tem pojęciem „ludzkości" mają nietylko prawo, lecz obowiązek nie liczenia się, i to nawet wówczas, gdy to słowo jest pisane przez duże „L"....

K. R.

JAK WYGLĄDA REFORMA SZKOLNA?

Od 1 LIPCA b. r. wchodzi w życie nowa ustawa szkolna, zmieniająca całkowicie i radykalnie obecny ustrój szkolnictwa.

Przeforsowana z wielkim pośpiechem głosami większości rządowej w Sejmie i Senacie, ustawa ta, jak wiadomo, wywołała w całem społeczeństwie wielkie zainteresowanie i zaniepokojenie. Zaniepokojenie wynikało przedewszystkiem z powodu zbyt daleko posuniętej ramowości i nieograniczonych wprost uprawnień, nadanych ministrowi oświaty.

Podnoszono z tego powodu zarzuty, iż wiadomo z ustawy, co i jak ma się zburzyć, a nie wiadomo, co w miejsce zburzonego powstanie. Ministerstwo, śpiesząc z uchwalaniem ustawy, nie dało opinji publicznej materjałów informacyjnych, dotyczących treści przyszłej szkoły.

Na liczne zapytania, skierowywane do przedstawicieli ministerstwa, odpowiadano, iż prace przygotowawcze do rozporządzeń wykonawczych i programów szkolnych są już bardzo daleko posunięte i ukażą się napewno zaraz po ogłoszeniu ustawy, przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego.

Otóż rok szkolny kończy się za kilkanaście dni, a społeczeństwo nic nie wie, jak się przedstawiać będzie szkolnictwo w najbliższym roku szkolnym.

Co gorsza, pojawiła się w prasie enuncjacja p. ministra Jędrzejewicza, właściwego autora nowej ustawy, która wywołać musiała co najmniej zdumienie. Oto na zebraniu krakowskiego Koła Tow. Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych w dniu 16 maja wygłosił p. minister przemówienie, w którem powiedział (informacji prasowej dotychczas nie zaprzeczono.—Red.):

„Dreszcz mnie przechodzi na myśl o zmianie konstrukcji programów, sytuacji nauczycieli i uczniów, ich roboty szkolnej i domowej, o wtłoczeniu w tryby nowej maszyny miljonów dzieci i 100 tysięcy nauczycieli. Ale trudno!". I dalej powiedział: „oblicze przyszłej szkoły, którego jako minister nie będę już oglądał, jest w ręku nauczycielstwa, które musi przyjąć ciężar i wagę odpowiedzialności za wykonanie ustawy, którą gdzieś, ktoś przyjął—a wykonawcy jej przyjąć ją muszą dobrowolnie lub z nakazu". Więc jakże to, p. minister oświaty sam nie może sobie zdać sprawy z oblicza przyszłej szkoły, a zmiany, jakie zajść mają, wywołują w nim dreszcze?

Cóż w takim razie sądzić mają szerokie koła społeczeństwa, które zapytują z niepokojem: co dalej? Odpowiedzieć na to pytanie nie mógł p. minister w dniu 16 maja, a nie dają tej odpowiedzi również dotychczasowe zarządzenia ministerstwa.

Cóż bowiem wiadomo z tych zarządzeń? Oto wiemy dotychczas, że w zakresie programów jest tylko jedno zarządzenie wydane, mianowicie: od nowego roku szkolnego kasuje się nauczanie języka obcego (niemieckiego względnie francuskiego) w piątym oddziele szkoły powszechnej, oraz zmniejsza się ilość godzin nauczania tego języka w oddziele szóstym szkoły powszechnej i w drugiej klasie gimnazjum, pozatem w tych klasach ma być wprowadzony t. zw. program przejściowy, czyli pewna drobna zmiana w zakresie innych przedmiotów nauczania.

Jeśli chodzi o zmianę zasadniczą programu szkolnego, to mówi się, iż ma być gotowy tylko program nauczania dla pierwszego oddziału szkoły powszechnej, natomiast całość programu dla nowego ustroju szkolnego jest w dalszym ciągu w stadjum rozważań licznych komisyj programowych ministerstwa. Kiedy ta praca programowa będzie ukończona, niewiadomo. Z tego też powodu można powtórzyć za p. ministrem, iż „oblicze przyszłej szkoły" jest dziś nikomu nieznane.

A przecież jest to sprawa wielkiej wagi: chodzi o 5 miljonów młodzieży i o 100 tysięcy nauczycieli.

Znane są natomiast postanowienia ministerstwa co do reorganizacji szkół. I tak: likwiduje się od nowego roku szkolnego pierwsze klasy gimnazjów, seminarjów nauczycielskich i szkół wydziałowych. Zamknie się t. zw. klasy przygotowawcze przy gimnazjach i seminarjach nauczycielskich. Wreszcie wydano już zarządzenie, by na terenie czterech województw południowych dzieci 6-letnie, które miały (na zasadzie obowiązujących tam dotychczas przepisów) rozpocząć naukę, pozostawić w domu, a wskutek tego na terenie tych województw nie będzie w nadchodzącym roku szkolnym pierwszych oddziałów w szkołach powszechnych. Mówi się również o możliwości zwinięcia siódmych klas szkół powszechnych siedmioklasowych, które w nowym ustroju szkolnym nie wchodzą, jak dotychczas w łańcuch tak zwanej jednolitości i o skasowaniu t. zw. państwowych jednorocznych kursów nauczycielskich.

Ta reorganizacja pozwoli na znaczne redukcje wydatków państwowych. O wydatkach na te klasy, mające ulec likwidacji, najlepiej powiedzą same cyfry.

W roku szkolnym 1929/30 uczyło się:

w pierw. klasach gimnazjów państwowych	12.138 ucz.
„ „ „ seminar. naucz. państw.	7.182 „
na państw. kursach nauczyciel. (10 kursów)	551 „
6-latki nie przyjęte do szkoły w Małop. liczą	200.000 „

Zwinięcie tych klas spowoduje:

usunięcie z gimnazjów i seminarjów nauczycielskich około 1000 nauczycieli, zaś ze szkół powszechnych w Małopolsce około 3500 nauczycieli. Część tych sił nauczycielskich usunie się na emeryturę, część z gimnazjów i seminarjów przeniesie się do szkół powszechnych, a resztę, głównie nauczycieli szkół powszechnych zwolni się ze służby. W budżecie państwowym na r. 1932/33 ilość etatów nauczycielskich w szkolnictwie powszechnem zmniejszono już o 4500, obecnie reforma szkolna, jak widzimy, pozwala na dalsze redukcje.

Według ustawy minister ma ponadto prawo skrócić o jeden rok wiek szkolny, czyli zwolnić ze szkoły na terenie całej Polski najstarszy rocznik uczniów t. j. około 400 tysięcy dzieci, co daje możność dalszej redukcji etatów nauczycielskich.

Widzimy z tego, że ustawa o nowym ustroju szkolnictwa, w wykonaniu, jako najważniejszy efekt, daje oszczędności.

Mówiłem o tem w Sejmie dwukrotnie. Dnia 26 lutego, podając cyfry, dotyczące tej sprawy, twierdziłem według stenogramu:

„Oszczędności te pozwolą Rządowi łatać budżet państwowy, którego nierealność jest powszechnie znana. Przyjąwszy, że redukcja budżetu oświatowego jest w chwili obecnej konieczną, zapytujemy, czy nie należało tej sprawy postawić jasno i szczerze wobec przedstawicielstwa narodu po to, ażeby wspólnie z niem obmyśleć właściwe sposoby wyjścia z sytuacji i podzielić się także odpowiedzialnością“.

Przedstawiciele ministerstwa zaprzeczali wówczas mojemu twierdzeniu o celach oszczędnościowych, wysuwając ze swej strony wyłącznie cele ideowe: epokowość koncepcji ustroju i wychowanie państwowe. Dziś już jednak znajduję potwierdzenie mego poglądu w zarządzeniach, które mają na celu głównie oszczędności.

Prawda, że „robi“ się bardzo energiczne posunięcia w sprawie wychowania państwowego. W dalszym ciągu usuwa się przedwcześnie od pracy ludzi wykwalifikowanych i zasłużonych (świeżo: Radom i Poznań), jako nie nadających się do prowadzenia wychowania państwowego, mimo iż wykazali całem życiem swój patrjotyzm i zdali chlubnie egzamin życiowy jako wychowawcy młodego pokolenia.

Jeśli chodzi o wprowadzenie nowego ustroju szkolnego, uważam, iż ministerstwo, śpiesząc się, nie postępuje w myśl ustawy, przeprowadzonej w parlamencie. Według artykułów 54 i 55 ustawy nowy ustrój winien być wprowadzony w ciągu 6 lat. A zatem, zaczynając od szkoły powszechnej, należało w ciągu 6 lat zreformować tę szkołę stopniowo, tak by mogła ona przygotować po 6-u latach kandydatów do nowego gimnazjum 4-letniego, a w następnych dopiero 4-ch latach gimnazja mogą przygotować kandydatów do nowego typu szkoły, zwanej liceum ogólno-kształcącem.

Ustawa nie mówi nic o programie przejściowym, który ma skrócić okres przygotowania młodzieży do nowego gimnazjum. Przeciwnie artykuł 55-ty mówi wyraźnie, iż „przy przeprowadzaniu ustroju szkolnictwa, przewidzianego w niniejszej ustawie, należy zapewnić młodzieży, uczęszczającej do szkół, możność dokończenia nauki w odpowiednich szkołach w takim okresie czasu, jaki w chwili przyjęcia ucznia był przewidziany dla danych szkół, jako normalny czas trwania nauki“. A zatem dzieci, uczące się obecnie w pierwszej klasie szkoły powszechnej, na podstawie tego artykułu mają prawo, po dalszych trzech latach, pójść do pierwszej klasy dzisiejszego gimnazjum, zaś dzieci, uczące się obecnie w czwartym oddziale, winny być przyjęte od 1 września b. r. również do pierwszej klasy gimnazjum. Likwidowanie pierwszych klas gimnazjalnych już w tym roku pozbawia te dzieci praw, zastrzeżonych im w ustawie.

W dyskusji nad ustawą szeroko omawiano zadania nowej, projektowanej szkoły średniej. Mówiło się, iż 4-letnie gimnazjum spełni swe zadanie wychowywania polskiej inteligencji — gdyż oprze się na nowej, lepszej szkole powszechnej. Tymczasem zamiast stworzyć wpierw tę nową, lepszą szkołę powszechną, jako podbudowę solidną, wprowadza się do niej program przejściowy, ułamkowo zmodyfikowany i odrazu stawia się jej wymaganie wysokie: przygotowanie młodzieży do nowego gimnazjum w ciągu 2 lat zamiast 6-ciu.

W dodatku każe się ze względów oszczędnościowych przepełniać klasy do 60 uczniów i redukuje się etaty nauczycielskie.

Czyż w takich warunkach może szkoła powszechna spełnić tak ważne zadanie, jak przygotowanie młodzieży do nowej szkoły średniej?

Czy nie należało poczekać na złagodzenie kryzysu gospodarczego, którego obecne stadjum nie może sprzyjać tak doniosłej sprawie jak reforma szkolna?

Dotychczasowe zarządzenia wykonawcze nie wydaja mi się ani słuszne, ani celowe. Wytworzą one chaos w szkolnictwie i spotęgują obecną niepewność jutra tak młodzieży, jak i nauczycieli.

W takiej atmosferze można zupełnie szczerze powtórzyć za p. ministrem:

„Dreszcz mnie przechodzi na myśl o zmianie konstrukcji programów, sytuacji nauczycieli i uczniów, ich roboty szkolnej i domowej, o wtłoczeniu w tryby nowej maszyny miljonów dzieci i 100 tysięcy nauczycieli“...

JAN KORNECKI

GŁÓD NA HUCULSZCZYŹNIE

JUŻ z końcem tegorocznej zimy i w czasie wiosny prasę małopolską, zarówno polską jak też ruską, przepełniły wieści o ciężkiej klęsce głodu, która dotknęła Huculszczyznę. Klęska ta zresztą nie ogranicza się jedynie do Huculszczyzny, ale objęła ludność całych Karpat Wschodnich. Jeżeli zaś pisze się i mówi o Hucułach, to jedynie dlatego, że ci jako lepiej zorganizowani aniżeli inne ruskie szczepy góralskie, zdołali ze swą biedą dotrzeć do szerszej opinji. Wedle zaś głosów prasy i relacyj wiarygodnych osób, które znają tamtejsze stosunki, bieda w górskich wsiach przybiera naprawdę niepokojące rozmiary. Ludność głoduje i wraca do zupełnie prymitywnych stosunków, obywając się bez soli i znów używając krzesiwa. Głód spowodowny jest przez obecny kryzys, a przedewszystkiem kryzys przemysłu drzewnego. Wyrąb karpackich lasów nie opłaca się obecnie, a ludność miejscowa, zajęta przy tej pracy, straciła swe główne zarobki. Powstały coprawda komitety pomocy dla zagrożonych terenów. Z jednej strony z pewną pomocą pośpieszył rząd, z drugiej zaś ukraińskie czynniki społeczno-polityczne organizują pomoc,. Oczywiście również pomoc ta nie będzie mogła sprostać zadaniu, zwłaszcza, że Huculszczyzna nie jest jedynym terenem w Polsce, który potrzebuje pomocy.

Zresztą wszelka akcja pomocy na tym terenie ma jedynie doraźne znaczenie. Głód bowiem we wschodnich Karpatach jest zjawiskiem starem i, można powiedzieć, stałem. Huculszczyzna przestała właściwie głodować dopiero w ostatnich kilku latach, już za czasów polskich. Przed tym okresem względnej pomyślności Huculi stale wyjeżdżali w zimie i na wiosnę aż na Podole, aby zaopatrzyć się w środki żywności, dając nieraz wzamian swą pracę. Pomyślność lat ostatnich dały Huculszczyźnie intensywny wyrąb lasów i ruch letniskowy, kierujący się tam z całej Polski, a zwłaszcza z wo-

jewództw centralnych. Kryzys wysuszył obecnie jedno ze źródeł zarobków ludności huculskiej t. j. zahamował roboty leśne. Źródło to zresztą musiałoby wyschnąć i bez kryzysu. Wszak las nie tak szybko rośnie, jak można go wyrąbać. Niewesołe również perspektywy ma przed sobą w obliczu kryzysu huculska tradycyjna podstawa gospodarcza t. j. wypas bydła po połoninach.

Mając powyższe uwagi na względzie, można się liczyć z tem, że okres względnej pomyślności ekonomicznej na tem terytorjum, ma się końcowi. Stawia to nas przed nowemi, bardzo poważnemi trudnościami natury polityczno-społecznej, wypływającemi ze zmian wyżej zaznaczonych. Myśląc o tych trudnościach, trzeba mieć ciągle na uwadze, że wschodnie Karpaty—to terytorjum najbardziej pod względem etnicznym różne od reszty Polski. Jest to najbardziej ruski okręg w całem państwie, położony najbardziej peryferycznie, oraz okręg graniczny. Stabilizacja biedy w takim kraju na dłuższy okres może stanowić bardzo poważne źródło politycznych zamieszek. Do zrobienia wielkiego mętu w takich warunkach wystarczy np. aby na rozagitowane na tle biedy terytorjum wschodnio-karpackie wdarła się grupa bojowców ukraińskich z Rusi Zakarpackiej. A przecie oddziały takie mogą być każdej chwili uformowane np. przez uniwersytet ukraiński w Pradze i akademję rolniczą w Podjebradach, utrzymywane dotychczas przez rząd czechosłowacki, utrzymywane prawdopodobnie nie na skutek zdrowych i normalnych stosunków politycznych między Polską a Czechosłowacją..

Wyłania się pytanie, czy jest jakakolwiek możliwość zaradzenia zarysowującej się klęsce i wypływającym z niej trudnościom. Myślę, że tak. Bardzo poważnych możliwości ratunkowych dostarczyć mogą Karpatom Wschodnim ruch turystyczny z reszty Polski, skierowanie tam wakacyjnego ruchu wypoczynkowego i letniskowego, racjonalna wreszcie rozbudowa rozmaitego typu uzdrowisk. Dotychczas wszystko to kierowało się, naskutek mody, w Tatry i najbliższą okolicę Tatr. Nastąpiło przeludnienie Tatr, ich bardzo poważne zaśmiecenie, a przedewszystkiem okolice podtatrzańskie stały się naskutek tego niesłychanie drogie. Bodaj częściowe skierowanie naszego ruchu letniego do Karpat Wschodnich wpłynęłoby bardzo dodatnio na polepszenie sytuacji ekonomicznej omawianych okolic, dając ludności sporo dochodów. Podkreślić przytem należy, że silniejszy ruch letni w kierunku Karpat Wschodnich, powiązałby je bardziej silnemi węzłami z resztą Polski. Ludność tamtejsza uświadomiłaby sobie korzyści ekonomiczne ze związku państwowego z Polską, co zawsze bodaj trochę łączy. Pozatem i to trzeba sobie uświadomiać, że Karpaty Wschodnie są jeszcze bardzo pojemnym terenem kolonizacyjnym, zdolnym pomieścić sporo materjału ludzkiego, opartego na eksploatacji piękna gór i zdrowego powietrza. Ilekolwiek myślę o tem zagadnieniu, zawsze mi staje przed oczyma pionierska działalność dr. Tarnowskiego w Kosowie, którego głodówkowa kuracja jest jakby symbolem tego, co można w Karpatach eksploatować. Warunki dla tego typu kolonizacji są obecnie w Karpatach Wschodnich wyjątkowo sprzyjające, co więcej, odbywa się ona nawet na wielką skalę, ale dokonywają jej Żydzi. Materjału dla tego ruchu dostarczyćby mogła nasza młoda inteligencja oraz elementy w tym kierunku fachowe z Karpat Wschodnich. Związek Podhalan nie małą miałby zasługę, gdyby myślami powyższemi zajął się konkretniej, aniżeli to może zrobić publicystyka.

KAROL STOJANOWSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF PO CZTERDZIESTOLECIU

JÓZEF WEYSSENHOFF wszedł do literatury odrazu—przez główne drzwi[1]). Ten Mistrz—ani przez chwilę nie był czeladnikiem.

Wniósł on do piśmiennictwa odrębny, nowy — u nas — rodzaj literacki, — mianowicie satyrę, utajoną w pozornym panegiryku. Gdy ukazał się sławny „Żywot Podfilipskiego", — krytyka słusznie orzekła, iż Weyssenhoff — jako pisarz — ma w Polsce dziadów i pradziadów, ale nie ma *ojców* w poprzedzającem go bezpośrednio pokoleniu polskich literatów.

Później—z biegiem lat—podnoszono — i słusznie—pokrewieństwo Weyssenhoffa z Kochanowskim i Mickiewiczem w doskonałości języka oraz w opisach przyrody. Ale jako satyryk ma on w prostej linji praszczura chyba w Ignacym Krasickim, u którego znajdujemy jakgdyby daleki, cząstkowy prototyp Podfilipskiego:

„Dopieroż tym triumfem głupiec uwielbiony
Łże, bredzi, decyduje, a w zgrai nacisku
Odbiera plauz mądrości i ma sławę w zysku".
Pomimo Niesieckiego, — *sławny*. Antenaty,
Stryjeczne i cioteczne liczy majestaty...

* * *

Po kądzieli wywodzi się Muza Weyssenhoffa z tej najszczerszej a bezimiennej poezji, jaką w *prawdziwe* życie wnoszą *prawdziwe* kobiety. Swoisty jest do nich stosunek Weyssenhoffa. W najjadowitszej nawet satyrze...—chociaż nie, satyra jego nigdy nie bywa jadowita! Ten mistrz trafnego strzału bije bez pudła ostro i nieomylnie, lecz nigdy nie podnosi do oka broni z kulą dum-dum.

Zwłaszcza nad kobietami Weyssenhoff nigdy się nie pastwi. Nawet kiedy maluje postacie ujemne, znać po nim, że z *utajonym* bólem używa ciemnych barw. Nigdy tu nie czuć tej satysfakcji, tej werwy złośliwej, jaka tryska mu z pod pióra, gdy krytykuje mężczyzn. Surowy i sprawiedliwy sędzia — swoje *podsądne* potępia, ale ich nie wyszydza. Widzi i karci w kobietach potwory, lecz cudactwa, ani pokraczności nie wyprowadza z nich z lubością na jaw,—przemilczając po rycersku, co tylko przemilczeć się da, bez uchybienia prawom sztuki.

Nawet najgorsza z awanturnic, z jednym tylko wyjątkiem,—nie występuje w powieści jako bezwzględne zło, ale jako śmiertelny, — jakże jednak żywy!—grzech.

[1]) Rzecz wygłoszona na obchodzie jubileuszowym 23.V w Teatrze Wielkim.

* * *

Satyra Weyssenhoffa ogarnia świat bogactwa i blasku, przychwycony genjalną spostrzegawczością na gorącym uczynku swojego istnienia,—świat głupstwa, obsłużonego przez rozum, świat rozkoszy, obróconej w nałóg i zażywanej przez jednych wymyślnie, a przez innych bezmyślnie.

Smakując przyjemności, osiąga język Weyssenhoffa mistrzowstwo. Skosztował słodyczy życia, jak niewielu, wypowiedział się o nich — jak nikt. Od lat 40-tu ocenia to cała Polska, chociażby trochę jaśniej oświecona. Okres prawie półwiecza wykazał próbą czasu, jak wielką słuszność mieli ci, którzy się lubowali stylem znakomitego pisarza od pierwszej jego książki.

* * *

Weyssenhoff puszcza płazem tylko to, na co szkoda ostrza;—zachowuje wytworność nawet w pogardzaniu. Niema tu niedomówień, lub przemycanych półgębkiem złośliwości. Jasność idzie o lepsze z ciętością, zarówno w portretowaniu figur swojskich, jak obcych. Galerji karykatur europejskich godny jest istny klejnot: Ex-Król Venecueli na bezterminowym urlopie, Filip XIII-ty, który tłumi skarby miłości dla swego ludu, tańcząc przy cygańskiej kapeli — na statku *Dieu ma-foi*, — tak ochoczo, iż Baranek Złotego Runa przewracał mu na piersi wesołe koziołki.

Na innem tle — sarmata, wyciosany z granitu, nieprzepuszczalny na wpływy, jak palto deszczochronne, posągowy, niby żyjący antenat, — herbu Dąb z godłem „Bóg mię złamie, ludzie nie zegną“. Ten zbiera skrzętnie dobra doczesne w przekonaniu, że siła pieniędzy nietylko staje się źródłem siły moralnej ale może tę ostatnią skutecznie zastąpić. Dostraja on etykę chrześcijańską do potrzeb większej własności ziemskiej. Nie zestarzał się do dziś,—znamy po latach jego dzisiejszy adres polityczny i patrjotyczny.

Paroma wybornemi zestawieniami,—każde z innego ogródka,—wybija autor dwuznaczność tej postaci i jej atmosfery.

* * *

Patrjjarcha Dubieńskich to osoba syntetyczna. Ma coś z unkra pruskiego choć do polskiego obyczaju krwią i nałogiem jest wdrożony. Przypomina innego Rzymianina polskiego—papę Pławickiego z „Rodziny Połanieckich“ Sienkiewicza, — lecz góruje nad tamtym utracjuszem niezaprzeczoną użytecznością społeczną. Gesty obydwu podobne, uczynki różne. Egoizm bowiem Dubieńszczyzny tę zaletę ma, iż stwarza koło siebie duże pole pracy. To jest raczej krew Milczka z „Zemsty“ Fredrowskiej. Ich dwór to—bądź co bądź—s t o l i c a okolicznych wiosek, cel dążeń chłopskich, pierwszy dla nich wzór żywej kultury. Żylasta, dorobkiewiczowska energja gospodarcza dziedzica, to dalszy ciąg instynktu bystrzejszych włościan, — przyszłych polskich f e r m e r ó w. Siedziba Dubieńszczyzny nie jest tylko schroniskiem rodzinnem na okresy zupełnej jałmużny pieniężnej, — czem był dziedziczny Krzemień dla typu Pławickich. Tutaj e u g e n i k a finansowa uprawia się systematycznie. Racjonalizacja zaś doboru małżeńskiego i rozpłodu,—polega—jak w rodowej stadninie,—na opanowywaniu zapędów jednostkowych, co sprawia, iż krańcowy — na pozór — konserwatyzm wiedzie wprost do metody hodowlanej ludzi. Punkt styczny tradycjonalizmu i postępu wykonywa się tutaj samoistnie—w realnem praktykowaniu życia.

Ród ten zyskuje z drugiej strony na zestawieniu z Podfilipszczyzną, której globtroterstwo przerabiało,—według trafnych spostrzeżeń Weyssenhoffa, — karmazynową szlachtę naszą „w cieplarnianą florę, nie zanurzoną w grunt swojski,—w jakąś koterję, iluzorycznie w y w y ż s z o n ą ponad w ł a s n ą ojczyznę“... „Niebezpieczne zaś, a szeroko rozgłaszane hasło:—arystokraci wszystkich krajów łączcie się!—mogło wpływać na zatracenie cech n a r o d o w y c h i sprzyjać przerobieniu arystokracji w ordynarną plutokrację“.

Pomimo antypatji osobistej,—rzetelność dziejopisa obyczajów kazała Weyssenhoffowi uwydatnić w tem groszoróbstwie przedwojennego typu znamiona dodatnie. Przenikliwy satyryk ani na chwilę nie przestał być wrażliwym na wartości społeczne obywatelem.

Na skarcenie bezwzględne wydany został jego werwie satyrycznej tylko ajent emigracyjny, w zakresie obyczaju i ducha, kosmopolita, wieczny tułacz dobrowolny, — przekupień narkotyków, przytępiających głos rasy.

Przebiegając oczyma satyryczne ustępy w „Podfilipskim“, „Synu Marnotrawnym“, czy „Sprawie Dołęgi“,—gdzie miljony pocą się złotem, a właściciele je podbierają jak miód, — czytelnik dzisiejszy podlega chwilami złudzeniu, iż czyta Prousta,—jakże późniejszego niż Weyssenhoff! Pokrewny świat obserwacji, czynionych oczywiście w zgoła odrębnej postawie duchowej. Humorem Weyssenhoffa trąci scena, gdy wybierający się właśnie na bal książę de Guermantes broni się rozpaczliwie od smutnej wiadomości rodzinnej, mogącej mu zepsuć zabawę: „Umarła?“. Ależ przesadzacie, napewno grubo przesadzacie, moje drogie!“.

Zasięgiem, bystrością i prawdą obserwacji Weyssenhoff niejednokrotnie przekracza swoją epokę i wznosi się częstokroć ponad wszelkie maniery, szkoły, mody czy kierunki.

Podfilipszczyzna, — odradzająca się dzisiaj w kształcie zreformowanym, czeka na Weyssenhoffa.

* * *

Zbierając miody nawet z chwastów, znakomity pisarz—wedle własnego wyrażenia, — hołdował zasadzie, że najwyższa literatura ma na celu p i ę k n o nie abstrakcyjne, lecz p i ę k n o dobroczynne.

Droga satyryka wyższej miary zawsze krzyżuje się z mnóstwem szlaków krzywych, dlatego iż wyznacza p r o s t y kierunek idejom.

W górach, gdzie są wieczne śniegi, nie wolno w miejscach bardzo stromych rozmawiać, — aby falami głosu nie wprawić lawin w ruch.

Otóż satyra w wielkim stylu—to krzyk mocny, urywany, ostrzegawczy, nakazujący ściszyć nieobyczajne hałasy wobec lawin, niewidzialnych dla wzroku—zaślepionego.

Taki krzyk ostrzegawczy może i sam przyśpieszyć katastrofę,—lecz tylko wówczas, jeśli wydany był zapóźno. — Rzucony w porę, zabezpiecza przed egzekucją żywiołową.

Takim niebezpiecznym, ale zbawczym sygnałem bywał szereg utworów znakomitego jubilata. W „Dniach Politycznych“ zwrócił się on frontem

krytycznym ku swoim współwyznawcom idejowym, ku nieładowi ich organizacyjnemu. — W „Unji" przekładał Litwinom samobójczość ich antypolskiej postawy. W „Gromadzie" urealnił typ „przyszłościowy", typ chłopa obywatela, nietylko pełnoprawnego lecz i pełno-obowiązkowego.

W „Hetmanach" użył patosu tragicznego, przewidziawszy doniosłość podziemnej zmowy antypolskiej. Wydobył na jaw postacie, które podówczas wydały się nieprawdopodobne, ale następnie się spospolitowały.

Osobliwością „Hetmanów" jest jeszcze i to, że występuje tam kobieta, całkowicie zła. Unikat w twórczości Weyssenhoffa! Pojawienie się tego niewieściego Kaina poprzedziło—szczególny traf!— urodziny najjaśniejszej pod słońcem jego talentu kobiety — tej Warszulki, w której się rozkochały u nas na umór, choć platonicznie, wszystkie stany.

* * *

Jak się to stało, że Warszulka zakrólowała wśród kobiet Weyssenhoffa, ona, analfabetka z pańszczyźnianego prawie środowiska? W czem leży jej odrębny urok? Że ma znamiona wiecznej kobiecości? Tak, lecz pod tym względem nie jest wyjątkowa. Nasz autor umie dobywać z kobiet tę „wieczną kobiecość" nawet w przelotnych romansach literackich, czy nowelach...

Józef Weyssenhoff, najbardziej męski u nas pisarz, jak go określił znakomicie Grzymała Siedlecki, — odczuwa „żeńskość" w bardzo rozległej skali. Warszulka stała blisko nizin: może dlatego właśnie zdołała się wznieść miłosnym porywem aż do wyżyn uczucia, gdzie wielkość i prostota znaczą jedno i to samo.

Warszulka bez cienia chytrości gotowa poddać się kochanemu mężczyźnie — ulegle, nieomal niewolniczo... Ale on choć rozgrzany pożądaniem, wzbrania się... Czy przez skrupuł etyczny, — jak napomyka autor w oficjalnej niejako wersji powieściowej?

Nie bardzo w to wierzymy. Młody człowiek broni się raczej przed miłością prawdziwą, bo do takiej nie dorósł jeszcze sercem. Nastręczona przez łatwą okazję miłostka z inną, — prawdziwie pańszczyźnianą dziewką,—i szereg emocyj myśliwskich ułatwiają mu pohamowanie zmysłów. Pozatem—lęk przed skandalikiem towarzyskim w razie mezaljansu,—sprzyja „rozsądnej", abstynenckiej tym razem postawie p. Michała Rajeckiego. Postawy tej żałować będą i on, i oczywiście Warszulka... Bo są uczucia tak mocne, tak całkowite już w chwili powstawania, że jeśli nawet ich nie wcielić w życie,— to istnieją obok niego — swoistem, upiornem potrosze bytowaniem. I na tamto, niby-to rzeczywiste życie—rzucają cień, „tem dłuższy, iż padnie zdaleka".

* * *

Na takiem skojarzeniu świateł i cieni ktoś jednak zyskał... Kto? Polska literatura!—Podświadoma tragiczność—to nieodzowny paszport dla każdego arcydzieła sielanki miłosnej, jeżeli ma się ona utrwalić w piśmiennictwie. Bo nawet i w Arkadji sielanka zawierała oprócz miłości — śmierć... Dafnis i Chloe zginęli młodziutko... W „Sobolu i Pannie" na śmierć poszła — młoda miłość. Może dlatego tem bujniej bije życie w nas, w czytelników,—z tego poematu miłosnego...

Autor sam nazywa w „Pamiętniku" „Sobola i Pannę" poematem, w którym przeżywał po raz drugi młodość,—z jej szczytnemi,—jak się wyraził— naiwnościami.

Nie według wszystkich są to naiwności.

Motyw męskiego wyrzeczenia się miłości odwzajemnionej był już w „Sprawie Dołęgi". Ale tam działacz społeczny zrzekł się kochanej kobiety w usprawiedliwionej obawie, że mu obciąży rozkosznym balastem szczęścia i koniecznością uszczęśliwiania—jego ruchliwą działalność ideową. Dołęga ma wytkniętą drogę i wie, że — sprawniej ruszać się na niej będzie sam. To też jego wyrzeczenie ma patos ofiary.—Podobnie byłoby z Michałem Rajeckim w „Sobolu",— gdyby wyrzekł się panny z pobudek ideowych, przejąwszy — na przykład od ks. Lelejki jego teorję o przezwyciężaniu miłości zmysłowej, celem przerobienia energji zwierzęcej na czysto duchową. Ale tak?... dla sugestji konwenansu?... dla rozsądku, który miewa wybiegi pokątnego doradcy?.. Szkoda! Stanowczo dla wielu z nas miały słuszność kłócące się z rozsądkiem drozdy, gdy cmokając z litewska raiły Michałowi Warszulkę... I miało też rację kwitnące żyto, kiedy go odurzało jej zapachem!..

Głos Warszulki — niewypowiedziany, zaparty w gardle, ścigał Michała, aż do drzwi, potem długo jeszcze, długo przez życie!.. — mówi autor. Ale czytelnik wywalcza sobie tutaj autonomję wrażenia—i wie, że głos Warszulki słyszany był przez całe życie napewno!

* * *

Po „Sobolu i Pannie", po rozkoszy poety,— wrócił Weyssenhoff parokrotnie na drogę ascetyczną,—jak orzekła krytyka,—na artystycznie dlań żmudniejszą, acz po obywatelsku heroiczną—drogę satyry dydaktycznej. — W „Cudnie" oraz „Nocy i Świcie" odżyła ideologja Hetmańska. Ale „Hetmanów" nieraz paraliżuje — intendentura...

Następnie Weyssenhoff brawurowe karty satyry rzucił w twarz mętom wielkomiejskim z „Ulicy". Potem w „Janie bez ziemi" dał bystry, kolorowy szkic życia ziemiańskiego w powojennych warunkach. Lecz całem sercem po „Sobolu i Pannie" wypowiedział się w „Puszczy", swojem arcydziele.

Tu znowu wszystko jest poezją: drzewa, zwierzęta i ludzie. Ten lis, który pod uśpionym obozem wynurzył z paproci swoją łajdacką mordę i przeląkł śpiących rozdrażnionem szczeknięciem, iż nic przy sobie nie mieli... Ten Ryś w ośrodku skwarnej, nieprzewianej nawet przez burze, gęstwiny;—ryś, drgającemi kończynami uszu łowiący przez sen niedosłyszalne dla ludzi szmery mrówczych łapek, albo skwierczenie żywicy na upale... Te dziki i głuche ich,—jak grzmoty przez sen słyszane,—pochody na ściętej przymrozkiem ziemi. Ten zwierzyniec, mający wartość ogólno-ludzką. Ten las ze swym ludem inaczej cudny w każdej porze roku... I to wietrzenie w jego woniach wszelkich zaduchów miejskich — z nerwów, serca, mózgu... I zmyślone z humorem leśnym „krukodziały" i wreszcie arcy-poemat z głuszcem i strzelcem — jako bohaterami, — oto prawdziwa korona twórczości Weyssenhoffa, żywa i odmładzająca się co roku, jak te korony, któremi w puszczy szumią drzewa.

STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

Szkoły polskie dziś i przed laty 30. — Jak Wschód kształnił społeczeństwo zachodnie. — Walka z duchem narodowym i językiem.—Wychowanie państwowe i szkoły prywatne.—Pomimo oporu duch Wschodu przenikał.

ROK szkolny dobiega końca. Starsze pokolenie przedwojenne umie ocenić zdobycze na polu wychowania publicznego ,osiągnięte w państwie niepodległem, ale właśnie dlatego, że pamięta czasy dawne, tak okrutne dla duszy polskiej (zwłaszcza w zaborze rosyjskim), tem drażliwsze jest na wszystkie niedomagania szkoły dzisiejszej. Czasy tak niedawne szkoły rosyjskiej pokrywają się mgłą legendy. Obecna młodzież szkolna nie daje tej legendzie wiary, a tymczasem powinna znać prawdę. Znając ją, więcej będzie cenić warunki, w których sama się kształci i — może — starszemu pokoleniu, które ich nie miało, daruje winę, że tak niewielką schedę kultury potomstwu swemu zostawiło.

Chciałbym w paru słowach tamte czasy przypomnieć i w tym celu przytoczę to, co sam o szkołach ówczesnych przed 30 laty pisałem we Lwowie, mając w świeżej pamięci te sprawy.[1])

— — — — — — — — — — — —

„Szkoła rosyjska—pisałem—dolega społeczeństwu podwójnie: 1) że wykłady w niej odbywają się w języku rosyjskim, nienawistnym dla ludności, a ideą jej przewodnią jest rusyfikacja i 2) że, niezależnie od jej szkodliwości politycznej, jest jak najgorzej zorganizowana i prowadzona.

W całem państwie rosyjskiem szkolnictwo znajduje się na poziomie bardzo niskim, zarówno po względem wpływu na młodzież, jak i z powodu niedostatecznej ilości zakładów. Statyści rosyjscy z powodu ciągłych zaburzeń młodzieży szkolnej, zaczęli w ostatnich czasach zastanawiać się nad przyczynami tego chorobliwego stanu szkolnictwa i doszli do wniosku, że źródłem złego jest przestarzały system szkolny, głównie zaś łacina i greka. Zamierzono zreformować wykłady łaciny i greki, czem — nawiasem mówiąc — rząd ujął sobie niezmiernie ogół rosyjski, nienawidzący wszystkiego, co przypomina Europę i nic nie zawdzięczający cywilizacji rzymskiej.

Trudno o złośliwszą ironję dziejową nad ten widok pokrywania wyższej kultury umysłowej, historycznie wyrobionej, przez kulturę barbarzyńską. Rosja, w której nauka szkolna jest nowością, znaną zaledwie od Piotra W., a upowszechnioną dopiero w wieku XIX., biorąc w antrepryzę oświatę publiczną społeczeństwa polskiego, nie może wywiązać się z zadania inaczej, jak przez uwstecznianie naszej starej kultury szkolnej. My, którzyśmy dzięki potrzebie uczenia się łaciny, od zarania swych dziejów kształcili się w szkołach, od 500 lat posiadali swój uniwersytet, a przed stu kilkudziesięciu laty imponowali światu znakomitemi ustawami i szkołami Komisji edukacyjnej, którzyśmy przed stuleciem w jednym okręgu Wileńskim posiadali więcej szkół ludowych i średnich, niż cała Rosja — dziś dzieci swoje uczymy u Rosjan, w szkołach, usuniętych z pod naszej kontroli.

Całe już pokolenia, obecnie żyjące, wychowały się w szkole rosyjskiej; pamięć istnienia języka polskiego w szkole przechowuje zaledwie garstka starców wymierających. Każdy lat dziesiątek szkoły rosyjskiej w Warszawie przynosił nowe ograniczenia języka i personelu nauczycielskiego polskiego pochodzenia; obecnie wszystkie przedmioty wykładane są po rosyjsku, a profesorami są Rosjanie.

Pedagog rosyjski ma w sobie to, co bezwiednie nurtuje ducha rządu rosyjskiego, nieufność, nawet nienawiść do młodzieży. Atmosfera zkolna w Rosji przesycona jest tem uczuciem; szkoła przedstawia pole pracy, prowadzonej bez wiary w pożytek, lub głuchej walki między młodzieżą a wychowawcami. Łatwo zrozumieć, że ci pedagodzy, przeniesieni do Polski, nie mogą wytworzyć tutaj atmosfery lepszej. Apatja jednak i gnuśność, cechująca ich w ojczyźnie, tutaj ustąpić musi żywszej działalności wskutek jasno postawionego im zadania. W Polsce pedagog rosyjski ma przed sobą zadania polityczne, ma rusyfikować; to jest dla niego zrozumiałe, to go ożywia.

To też niepodobna wyobrazić sobie nic bardziej urągającego elementarnym zasadom pedagogicznym nad widok dziecka polskiego w rękach rosyjskiego wychowawcy. Nauczycieli w Rosji jest znacznie mniej, niż potrzeba, a dobrych brak jest zupełnie; jeżeli się zważy, że na kresy dążą odpadki społeczeństwa rosyjskiego, nie mogące sobie znaleźć kąta na miejscu, to łatwo sobie wyobrazić, jakich wychowawców ma młodzież polska.

Z otrzymanych instrukcyj ludzie ci jedno byli zdolni zrozumieć, że jadą do Polski, aby z dzieci polskich robić obywateli szerokiej ojczyzny, przenikniętych duchem państwowym. Przez głowę nie przeszła im nigdy myśl o stosunku ojcowskim do tych dzieci wrogiego Rosji kraju. Rodzina nie może zachęcać młodzieży do szanowania takich nauczycieli i dawania im wiary; dziecko wchodzi do szkoły z miną dyplomaty i w duszy urąga szkole. W innych warunkach atmosfera taka byłaby zabójczą dla niego, ale u nas punkt ciężkości wychowania pozostać musiał w domu, który, jak może, naprawia spaczone dusze dzieci.

Szkół w Warszawie mamy bardzo mało; dostęp do nich trudny, dla mniej zamożnej większości prawie niemożliwy, więc dzieje się, że dziękować musimy losom za szczęście, skoro uda się umieścić dziecko w zakładzie. Nie jest to zadanie łatwe, nie wystarcza prygotować dziecko, nie wystarcza zwykły konkurs egzaminacyjny. Liczba kandydatów przewyższa zwykle kilkakrotnie (w klasach najniższych nierzadko 10 razy) ilość miejsc w klasie, potrzeba więc posiadać szczególny przywilej w szkole, aby się tam dostać. Rozstrzygają w tem wypadku, jak zawsze w stosunkach z władzami rosyjskiemi, stosunki osobiste rodziców, a przedewszystkiem łapówki. Oprócz wpisowego, które w gimnazjach wynosi rocznie 60 rubli (150 koron), wytworzyła się taksa prywatna, składana po cichu, często przez pośredników, dyrektorowi zakładu, a wynosząca od 50 do 150 rubli. Znane są gimnazja, do których dostać się można jedynie za pośrednictwem np. właściciela sklepu; ten pośredniczy w przekupywaniu dyrektora.

W ciągu trzech ostatnich dziesiątków lat wieku ubiegłego przepadł w Królestwie Polskiem cały nasz dorobek społeczny, do jakiegośmy doszli poprzednio w oświacie szkolnej. Dawne szkoły wydziałowe i początkowo gimnazja wydobywały pod

[1]) Pisałem tę relację w r. 1902. — Jest to (w skróceniu) V rozdział książki, która wyszła we Lwowie z datą 1903 r. p. t: „Warszawa współczesna w 12 obrazkach“ (Tow. Wyd.). Książka wyszła pod pseudonimem „Przygodny“.

słońce cywilizacji wiele jednostek z ludu, mających możność małym kosztem uczyć się w szkołach. Znikły na prowincji, w miastach powiatowych, owe konwikty, do których mieszczanie, drobna szlachta i chłopi dowozili dzieciem pożywienie w naturze; szkoła stała się napowrót arystokratyczną. Tem w znacznej części tłumaczy się nader smutny objaw opustoszenia seminarjów duchownych i braku księży, objaw dla rządu bardzo pocieszający.

W Królestwie Polskiem istnieje podział szkół na niższe, średnie i wyższe. Do pierwszej kategorji należą po wsiach szkoły gminne, a w miastach — miejskie. Nauka nie jest obowiązkowa, jak w Galicji. Obecnie rząd postanowił zakładać szkoły wiejskie, obok gminnych, rządowe, w rodzaju tych parafjalnych, z któremi na Litwie walczył biskup Zwierowicz. Szkółek gminnych jest mało, dzieci musiałyby do nich chodzić po 10 wiorst i więcej. Ale nie chodzą, chłopi bowiem są tyle uświadomieni narodowo, że nie pragną dla dzieci nauki języka rosyjskiego, inteligencja zaś do szkół tych bynajmniej ich nie namawia. Społeczeństwo musiało w tym duchu się zdecydować; lepiej pozostawić lud jego własnej przemyślności w sprawie oświaty. Po wsiach rozwinąć się musiała nauka nielegalna przy pomocy nauczycieli wędrownych i rodziców. Analfabetyzm wśród ludu, pomimo braku szkół, zmniejsza się, a zapotrzebowanie bibljotek i pism coraz się zwiększa. W Warszawie dla ludu istnieje kilkadziesiąt szkółek miejskich jedno lub dwuklasowych i niedzielno-rzemieślniczych.

Gimnazja rządowe (szkoły średnie) istnieją w każdem mieście gubernjalnem, jedno męskie i jedno żeńskie; w Warszawie mamy 6 męskich i 4 żeńskie (nie licząc gimnazjum na Pradze). Progimnazjów (4-ro klasowe) jest kilka na prowincji i 4 w Warszawie. Oczywiście jest to ilość niewystarczająca, sfery bowiem oświecone nie mogą pójść za przykładem ludu, zmuszone zaopatrywać dzieci w dyplomy. Wobec przepełnienia gimnazjów powstają szkoły prywatne, z których kilka odpowiada programem gimnazjom. Jest takich 4 męskich i 22 żeńskich; oprócz tego z krótszym kursem kilkadziesiąt żeńskich i kilkanaście męskich. Szkoły prywatne znajdują się pod ścisłą kontrolą inspekcji rządowej, wykłady odbywają się w nich również po rosyjsku, przyczem nauczyciele języka rosyjskiego narzucani są kierownikom wbrew ich woli. Są to więc właściwie uczelnie rządowe, prowadzone na ryzyko przedsiębiorców prywatnych. Szkoły prywatne, które pozyskały pewne przywileje, właściwe szkołom rządowym (co do dyplomów), utrzymywać muszą na swój koszt rządowego dyrektora, oczywiście Rosjanina.

Uniwersytet warszawski z katedrami, obsadzonemi przez odpadki rosyjskich sił naukowych, źle uposażony, jest jeszcze gorszy, niż go rząd widzieć pragnie. Ale młodzież uniwersytecka, kształcąca się teoretycznie, może uzupełniać sama swoją wiedzę, jeżeli do nauki ma zapał; w Politechnice zaś sama, bez odpowiednich wzorów i kierowników, nic z siebie nie zrobi, a — niestety — zakład ten, również przez Rosjan obsadzony, nie stoi na wysokości zadania.

Przemysł nasz ma bardzo wysokie potrzeby techniczne i wątpić można, czy zechce posługiwać się technikami, kształconymi przez niedouczonych Rosjan. Widzimy przecież, że przemysłowcy nasi w Warszawie i w Łodzi nie mają dzisiaj pożytku z wychowańców politechniki petersburskiej i pomimo chęci, uciekać się muszą do inżynierów, wykształconych w Charlottenburgu lub w Zurichu; cóż więc pocznie wychowaniec Politechniki warszawskiej, która doborem sił profesorskich nie wyrównywa petersburskiej? W Rosji brak profesorów na potrzeby Petersburga, więc do Warszawy nie przysłano orłów.

Przypatrzmy się z kolei, w jaki sposób w powyższych warunkach szkoła rosyjska oddziaływa na kulturę polską. Dzieci nasze najusilniej przykładają się do języka rosyjskiego, do historji i geografji Rosji; nie miałyby znaczenia postępy w innych naukach, gdyby uczeń nie celował w tym kierunku. To też wyniki są zdumiewające.

Przyrodzone zdolności naszej młodzieży w walce z niesłychanemi trudnościami, jakie przedstawia wykładowy język rosyjski i zła pedagogja Rosjan, ulegać muszą przytępieniu, a trudności są tak wielkie, że przez tortury szkoły średniej przedostaje się zaledwie mały procent tych, którzy ją zaczęli. Chłopiec średnich zdolności nie zawsze jest w stanie ją przebrnąć; po kilku latach, zmęczony pracą nadmierną, tępieje i wycofuje się ze szranków. Tylko najzdolniejsi przechodzą szkołę o własnych siłach; większość uciekać się musi do t. zw. korepetytorów (z klas wyższych), którzy męczą do późnej nocy wyczerpane z sił dzieci. Straszny to widok. Dzieci bez odpoczynku i jedzenia siedzą w szkole do godz. 3 po południu, a potem od samego obiadu często do godz. 12 w nocy „obkuwają“ lekcje, których nauczyciel nie umiał im uprzystępnić. Zważywszy brak wszelkich ćwiczeń fizycznych i dogodnych budowli szkolnych, łatwo wyobrazimy sobie, że młodzież nasza po ukończeniu szkół nie jest zdolna do żadnej systematycznej, wytężonej pracy. W czasie egzaminów uniwersyteckich szpitale zapełniają się chorymi akademikami, a w rezultacie przednie szeregi społeczeństwa wypełnione są suchotnikami i neurastenikami.

Pod względem moralnym szkoła rosyjska szerzy nie mniejsze u nas spustoszenie. Uniwersytet w atmosferze swojej, którą rząd usiłuje bezskutecznie zatruwać, prostuje po części spaczone pojęcia i charaktery; ale biada tym, którzy, utknąwszy na przeszkodzie w szkole średniej, zaniechali dalszej pracy nad sobą.

Przedewszystkiem dzieci nasze nie mają gdzie się uczyć języka polskiego. Od szeregu lat usunięty jest on ze szkół ludowych i średnich. W roku 1899 komitet ministrów wyjaśnił, że w gimnazjach może być wykładany język polski tam, gdzie okaże się to niezbędne ze względów pedagogicznych. Oczywiście, mało gdzie okazało się to niezbędnem, a program wykładów tego języka, opracowany w roku następnym, nie usprawiedliwił nadziei, pokładanych w tym akcie prawodawczym przez ugodowców. Dosyć powiedzieć, że nauczyciel wykłada gramatykę języka polskiego po rosyjsku według podręcznik Grubeckiego, co ośmiesza całą tę naukę.

Gorzej jest w szkółkach miejskich i wogóle wśród sfer niezamożnych w mieście, które nie mogą uzupełniać nauki szkolnej. W ostatnich latach okazuje się coraz częściej, że przy egzaminach wstępnych do gimnazjum dzieci polskie nie umieją zgoła liter polskich.

Położenie jest rozpaczliwe. Rząd rosyjski wie, że edukacja prywatna naprawiać musi i uzupeł-

niać naukę szkolną, więc pomyślał i o tem, aby nauczaniu prywatnemu zapobiec. Dawniej już (w r. 1892) zastosował był w Krajach zabranych surowe przepisy o „tajnem nauczaniu", rozumiejąc pod tym terminem wszelkę naukę bez kontroli władz, zwłaszcza zbiorową. W r. 1900 dla zrównoważenia dobrodziejstwa, polegającego na wprowadzeniu do szkół gramatyki Grubeckiego, wprowadzono te przepisy i do Królestwa Polskiego. Odtąd wszelka nauka zbiorowa, choćby kilku dzieci w domu prywatnym, jest ścigana pod grozą grzywny, a policja przy pomocy stróżów coraz częściej czyni w tym celu obławy. Tak było przed 30 laty.

— — — — — — — — — — — —

Zagadnienie dwóch kultur–zachodniej i wschodniej, które po głębszem wpatrzeniu się w życie cywilizacji polskiej, nabrało obecnie takiej aktualności, łatwo zrozumieć w jego genezie na wskazanym przezemnie kawałku dziejów. Nie poruszyłem wielu stron tego oddziaływania wschodu na duszę polską, choćby np. stosunku wychowawców do nauki religji katolickiej, ale z tego nawet, co wyżej zaznaczono, widać jak na dłoni, jak przez szkołę przenikał do Polski duch Wschodu. Kongresówka była oporniejsza na te wpływy, ale kresy, które się obecnie szczycą, że dają Polsce natchnienie rozwojowe, znajdowały się w warunkach gorszych.

Do cech zasadniczych polityki szkolnej ówczesnej należały: zasada wychowania państwowego i brak zaufania do społeczeństwa i do młodzieży, wyrażający się w bojowej postawie wychowawców wobec rodziny i szkół prywatnych. Były to czasy, kiedy nie wolno było używać w druku wyrazu „naród". W szkołach bano się jednej rzeczy: ducha narodowego.

Oczywiście władze rosyjskie dręczyły szkołę galówkami na imieniny cara, czy w rocznicę koronacji, ale w obawie o pospolitowanie portretów cara, zadawalały się, gdy wisiał jeden w kancelarji szkoły. O władzach rosyjskich, pomimo wszystko, co ich politykę czyniło szatańską, a częstokroć głupią, to można powiedzieć, że miały szacunek dla siebie i swoich carów, a z drugiej strony pewien respekt wobec społeczeństwa polskiego. Rosjanie w Polsce mieli poczucie swojej niższości wschodniej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

UBÓSTWO „SANACJI" JEST UBÓSTWEM POLSKI — przynajmniej do pewnego stopnia. Z tego względu jest opłakane. Mamy na myśli ubóstwo talentu i myśli politycznej. Zdajcie sobie sprawę z tego, że obóz, który naprawdę gorliwie—popierał siebie, zasilał funduszami, i usuwał przeciwników ze stanowisk w administracji w kraju i zagranicą — w tych najpomyślniejszych dla popierania siebie samego warunkach nie wydał żadnego talentu i nie wykrzesał z siebie myśli politycznej. Nie wyszedł z tego ośrodka żaden program, któryby serjo zainteresował społeczeństwo i stał się przedmiotem autentycznej dyskusji. Nikt z tego obozu nie przysporzył literaturze politycznej choćby jednej książki ważkiej, wartościowej, ani żadnego studjum, któreby oddźwięk znalazło w kołach czytających. Zadziwiające ubóstwo... Pozbawcie sanacyjnych „mężów stanu" tytułów i stanowisk, a odejmiecie im całą umysłową — dystynkcję, zredukujecie bezlitośnie jako — „ludzi".

TO UBÓSTWO DUŻEGO OBOZU jest, jak powiedzieliśmy, także w pewnej mierze ubóstwem Polski. Niezdolność myślenia samodzielnego o sprawach państwowych, niezdolność przewidywania i nakreślenia programu, fakt, że nie ma się społeczeństwu nic do powiedzenia w charakterze przewodników zbiorowości, wreszcie prymitywizm polemik prasowych — wszystko to opóźnia rozwój polityczny Polski, i przyczynia się do zatrzymania nas na niższym poziomie. W szczególności ściąga na ten niższy poziom dyskusje, wywiązujące się około dzieł prawdziwie wybitnych. Przykładem głosy, które w tamtym obozie wywołało ukazanie się książki Romana Dmowskiego: „Świót powojenny i Polska". Wybitność dzieła, wyjątkowy charakter przewodnika, uczącego myśleć o Polsce i o świecie — same przez się nikomuby snu z powiek w obozie „sanacyjnym" nie spędziły. Przeciwnie, możnaby na to oczy zamknąć. Niespodzianką atoli było, że polski ogół czytający, tak obojętny na publikacje z zakresu wiedzy politycznej, tę właśnie książkę przyjął entuzjastycznie. Po raz pierwszy w Polsce powojennej, ogłupionej bezmyślną przeważnie literaturą polityczną, przyswajano sobie chciwie wykład o zagadnieniach z tej dziedziny, po raz pierwszy okazano taką żądzę oświaty rzeczywistej, gdy (rzecz niezwykła)—trafiła się po temu sposobność. Trzy wydania „Świata Powojennego" w ciągu roku—był to w naszych stosunkach wydawniczych rekord, uwydatniający nagle, wbrew wszystkiemu, do kogo należy prawdziwe przewodnictwo polityczne.

REAKCJĄ NA POWODZENIE DZIEŁA nie mogło być przemilczenie. Nie miałoby sensu. Zadanie przeciwdziałania wzięły na się duże broszury (nie licząc oczywiście artykułów, rozproszonych po pismach kierunku sanacyjnego). Jedną z nich, z czerwoną okładką, widzieć możecie pod szklanemi blatami księgarń kolejowych. Rzecz to obliczona na najniższy poziom wymagań czytelniczych, zatytułowane „Roman Dmowski — czciciel djabła", napisana przez Wincentego Rzymowskiego. Zajmować się nią niema powodu. Dla inteligencji natomiast przeznaczona jest szaro oprawna, cieniutka broszura A. Plutyńskiego — odbitka z „Przeglądu Politycznego". Ta odczynić urok dzieła usiłuje innemi środkami: „...pewne koła inteligencji" — pisze ten drugi polemista o książce Dmowskiego — „pobudzone wielu świetnemi, a niespodziewanemi tezami autora, widzą w niej początek, czy zaczyn nowej polityki polskiej. Ponieważ w książce tej znalazłem szereg założeń niezgodnych z rzeczywistością, szereg wniosków nieścisłych, szereg niekonsekwencyj i to właśnie w sprawach najżywotniejszych dla kształtowania się myśli gospodarczej i politycznej polskiej, uważam za swój obowiązek zwrócić uwagę na wątpliwości, które mi się przy czytaniu tej niepospolitej książki nasunęły". Uogólnienia Dmowskiego, rysujące istotę rzeczy, krytyk chce zakwestjonować, stwierdzając niedokładności w szczegółach konturu—jakby można było zanegować bezrobocie w Niemczech, stwierdzając wzrost spożycia kakao na głowę. Me-

toda, znakomicie prowadząca do przeoczenia wszystkiego, co istotne. Dokładnością szczegółów konturu nie lepiej mierzyć można prawdę obrazu politycznego, narysowanego w wielkich linjach, niźli prawdę wewnętrzną rysunku artysty. Więc nonsens, co każdy widz, czy czytelnik z odrobiną polotu zaraz ujrzy. Lecz nietylko to nieporozumienie metodologiczne zaszkodziło broszurze p. Plutyńskiego. Zaszkodził także wpływ czasu. Wyszła w kwietniu... Gdy dzieło Dmowskiego, tak śmiałe w wielu twierdzeniach jeszcze rok temu, dziś przed niejednym względem nabrało zdumiewającej prawdy— bo prawda leżała w uchwyceniu istoty zagadnień, nie konturu — broszura ze swemi statystykami po dwuch miesiącach już trąci antykwarycznością.

W konkluzji pisze krytyk: „w obecnym zbiorze artykułów znaleźliśmy wiele świetnych sformułowań zjawisk światowych i europejskich... nie udało nam się znaleźć żadnych nowych, pozytywnych, twórczych wskazań, dotyczących bytu państwowego Polski i jej przyszłego rozwoju". Jakby zrozumienie zagadnień bytu Europy nie było jednocześnie zrozumieniem położenia i możliwości rozwoju Polski... Mimo takich lapsusów djalektycznych broszura p. Plutyńskiego jest pracą człowieka inteligentnego. Uprzytomnia dystans między inteligencją, a inteligencją.

WYSTAWIENIE W WARSZAWIE NAJNOWSZEJ SZTUKI SHAWA nie obyło się bez swoistego skandalu. Wyłuszczaliśmy już w poprzednim numerze racje, dla których to pochopne pokazanie publiczności polskiej tego utworu dyskusyjnego uważaliśmy za nieporozumienie. Ale bądź co bądź Warszawa, a więc i Polska, robiła honory domu. Mogła nie mieć sensu fantazja, żeby chcieć nagwałt przed całą Europą zobaczyć utwór z obcego partykularza ideowego, zalecający się tylko prowincjonalnym wdziękiem — ale właśnie w tej egzotyczności leżał cały interes sztuki, cała wartość, jaką ta „komedja" posiada. Jeśli z tego ją okroicie, wpadniecie w niedozeczność podwójną. Tymczasem sytuacja zrobiła się taka, że strasznie śpieszyliśmy się, aby zamówić i sprowadzić towar — i jako pierwsi, spożyć sfałszowany. Utwór obcięła cenzura raz, a potem jeszcze raz. W tych warunkach widowisko regjonalne angielskie naprawdę nie miało sensu. I nie wypadła pięknie gościnność prowincji polskiej dla prowincji angielskiej. Czasem lepiej nie śpieszyć się z zaproszeniem gościa.

KAŻDY SEZON SPORTOWY w Polsce od kilku lat zaznacza się burdami i bójkami, które pod najbłahszym pozorem wszczynają sportowcy żydowscy przeciw drużynom polskim. Czerń makabejska stoi na tak niskim poziomie cywilizacyjnym, że nawet w zawodach sportowych nie umie dostroić się do zwykłej godności i dostojności ludzkiej. Każda przegrana Żydów wywołuje w nich dzikie objawy złości i nienawiści rasowej, które niejednokrotnie przenoszą się z boisk na ulice.

Nie mamy zamiaru prawić Żydom morałów wychowawczych, ale Polacy mogliby już zaprzestać przykrych doświadczeń i raz nareszcie kres tej makabimachji położyć. Należy we wszystkich sportach polskich przeprowadzić akcję propagandową w tym celu, ażeby żadne towarzystwo, klub, czy drużyna sportowa polska nigdy z Żydami do zawodów nie stawała. Nagromadziło się już w tej dziedzinie tyle naocznych dowodów dzikości żydowskiej, że na ich podstawie każdy sportowiec polski uznać winien słuszność tej akcji i do jej wykonania przystąpić.

Trzeba tylko, żeby znalazła się polska organizacja sportowa, którąby tej akcji się podjęła i do końca ją doprowadziła. Wymaga tego nietylko polska godność narodowa, nietylko godność sportu polskiego, nietylko nawet godność ludzka drużyn polskich, ale wręcz bezpieczeństwo publiczne, zawsze wtedy zagrożone, kiedy na boisku przeciw drużynie polskiej staje czarna sotnia makabejska.

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

W d. 11 czerwca odbyło się w Krakowie uroczyste posiedzenie Akademji Umiejętności. W przemówieniach swoich zarówno prezes Akademji prof. Kostanecki, jak i sekretarz generalny prof. Kutrzeba przedstawili katastrofalny stan funduszów wskutek kryzysu, który dotknął majątki Akademji, i wskutek przerwania dotacyj ze strony państwa.— Na członków zwyczajnych Akademji powołani: na wydziale filolog. Tadeusz Kowalski (Kraków), na histor. - filozof. — Jan Czekanowski (Lwów), Jan Rutkowski (Poznań), na lekarskim— Miecz. Konopacki (Warsz.), Aleks. Rutkowski (Kraków). Pozatem szereg zagranicznych.

Nagrody przyznano: 1) z funduszu Barczewskiego prof. Wład. Konopczyńskiemu (Kraków) za dzieło „Kazimierz Pułaski", 2) z funduszu Barczewskiego — Leonowi Wyczółkowskiemu za obraz „Krucyfiks Jadwigi", 3) im. Spasowicza— Al. Brücknerowi (Berlin) za dzieło „Literatura polska".

Uroczystość zakończyła się odczytem prof. Juljusza Kleinera ze Lwowa na temat: „Osobistość i wartości ponadosobiste w Fauście Goethego".

Z uczuciem dumy zaznaczamy, że wyżej wymienieni członkowie Akademji Umiejętności: prof. Jan Czekanowski ze Lwowa i prof. Wład. Konopczyński z Krakowa należą do grona współpracowników „Myśli Narodowej". Sprawozdanie z dzieła prof. Konopczyńskiego o Kazimierzu Pułaskim, nagrodzonego przez Akademję, zamieścimy w jednym z najbliższych zeszytów. Pisze je historyk K. M. Morawski.

*

W jednem z najpiękniejszych miast polskich, w Chełmnie na Pomorzu zmarł w 80-tym roku życia ś. p. Walenty Fiałek, drukarz i wydawca książek ludowych. Wydał ich 150. Doszedł do tego pracą i oszczędnością jako zecer. Ale pozostawia po sobie wielką puściznę, jako biblofil. Zbierał drobne druki pomorskie i z Prus Zachodnich i zachował je przed zagładą. Bibljoteka Fiałka należy do najcenniejszych zbiorów książkowych Pomorza.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazało się w druku rewelacyjne dzieło Henryka Rolickiego pt. „Zmierzch Izraela". Jest to bogato udokumentowana historja działań organizacyj żydowskich, zmierzających do opanowania świata swemi wpływami ze, szczególnem uwzględnieniem Polski. Rzecz, podzielona na 44 rozdziały, jasno i w sposób niezwykle interesujący wykłada te dzieje. Książka ma 423 strony dużego formatu i kosztuje 10 zł. Jest do nabycia w administracji „Myśli Narodowej". Bliższe szczegóły damy w specjalnem sprawozdaniu niebawem.

*

Wydanej właśnie książce Jędrzeja Giertycha pt. „O program polityki kresowej" poświęcił ostatnio artykuł wstępny główny organ obozu ukraińskiego w Polsce lwowski dziennik *„Diło"*. Streściwszy obszernie tezy książki, *„Diło"* zwraca na nią uwagę swych czytelników, zaznaczając, iż ważną jest rzeczą poznać program polski w kwestji ruskiej i białoruskiej, choćby w tym celu, aby skutecznie go zwalczać.

Książka Gietrycha pojawiła się w odpowiednim czasie, przyszła bowiem pora ustalania się zasadniczych pojęć w po-

lityce polskiej. Polskie stanowisko w sprawie ruskiej może być tylko jedno i książka Giertycha je uzasadnia.

(Książkę „O program polityki kresowej“ nabywać można we wszystkich księgarniach. Cena zł. 4.50).

*

„Myśl Narodowa“ ogłosiła przed kilkoma tygodniami fragment szkicu literackiego dr. Mieczysława Piszczkowskiego o młodym, zapomnianym poecie lwowskim, Janie Zahradniku. Obecnie ukazał się ów szkic w całości, w estetycznie wydanej książeczce, z przedmową prof. Ign. Chrzanowskiego. Mieczysław Piszczkowski, autor subtelnych uwag o elementach przyrody w twórczości Weyssenhoffa, oraz kilku prac drobniejszych, w których metoda i erudycja, zdobyta w dobrej szkole naukowej, zespoliły się z przenikliwem spojrzeniem estetycznem, słusznie dobył z niepamięci dzieje literackie zmarłego młodo poety. „Jakieś słońce promienieje z tragicznej postaci Jana Zahradnika, utracjusza talentu i sławy, szermierza odwiecznych, a zawsze żywych ideałów dobra, piękna i prawdy“. Autor dłonią umiejętną wskazuje elementy poetyckiego i myślowego tworzywa owych młodzieńczych, ale jakże dojrzałych wierszy. I tak rośnie przed nami, w miarę odczytywania kart studjum dr. Piszczkowskiego, i maluje się coraz wyraźniej a trwalej, Jan Zahradnik, osamotniony poeta smutku, stroniący od literackich gwarów i koteryj, bezkompromisowy w sądzie, ofiarny w swym czynie artystycznym, pogłębiony w refleksji, „pełen aspiracyj mistycznych“. Ale nie posąg z jednej bryły. Autor dostrzega w twórczości Zahradnika brak koordynacji i nieustanną rozterkę duchową. Daleki od chwalczej apoteozy, ustala owe dysproporcje i brak zestroju, obok głębi poetyckich wskazując także mielizny, na których nieraz lądować musiał młody poeta.

Prócz wierszy oceniono tu i prozę Zahradnika — krytyka i publicysty. Szkic zalecają: nietylko smak estetyczny autora, sąd pełen miary i taktu literackiego, spojrzenie nie wahające się przed naganą, gdy jest potrzebna, ale także walory formalne: starannie w przypiskach cytowana bibljografja, zebranie opinij o Zahradniku z prasy współczesnej, pełne wreszcie powabu przedstawienie rzeczy. Subtelny poeta doczekał się wreszcie, niestety po śmierci, subtelnego krytyka.

Studjum Piszczkowskiego poprzedził kilkoma głębokiemi uwagami o czystej liryce prof. Ignacy Chrzanowski, którego nazwisko starczy za najlepszą legitymację książki.

(T. M.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Zdawaliśmy w „Myśli Narodowej“ sprawę z pierwszego tomu wspomnień Gustawa Stresemanna, wydawanych w tłumaczeniu francuskiem p. t. „*Les Papiers de Stresemann*“. Obecnie ukazał się tom drugi, obejmujący lata 1925 i 1926, a więc okres zawierania paktów lokarneńskich i wejścia Niemiec do Ligi Narodów. Przynosi on wiele interesującego materjału do zrozumienia polityki zmarłego ministra niemieckiego. To, co było pisane na podstawie tomu pierwszego, potwierdza się w zupełności. Niepodobna z dość wielkim naciskiem zachęcać czytelnika polskiego do zapoznania się ze wspomnieniami Stresemanna, oświetlającemi znakomicie cele i metody polityki niemieckiej. Niebawem ukaże się tom trzeci, obejmujący rok 1927 i 1928, a więc ostatnie lata działalności i życia Stresemanna. (S. K.)

*

Znany powieściopisarz i krytyk artystyczny, Kamil Mauclair (parę lat temu wydano u nas, w przekładzie L. Staffa, książkę M. o sztuce Florencji), ostatnią książkę swoją p. t. „Majestat Rzymu“ („*La Majesté de Rome*“) poświęcił pomnikom cywilizacji grodu Cezarów i Papieży. Zebrane tu zostały wrażenia autora, doznane na Forum, w Katakumbach, w kościołach i pałacach, wreszcie wśród kampanji rzymskiej. Nie znajdzie tu czytelnik zbyt oryginalnych poglądów, ani nadzwyczaj świeżych wrażeń, mimo to wszakże książkę Mauclair'a, będącą wyrazem szczerego podziwu dla świetności starożytnego Rzymu, dla jego „majestatu“, czyta się z przyjemnością. (W. J.)

*

Ukazała się książka, napisana przez Roger Constant'a p. t. *Tantièmes d'Administrateurs de Sociétés Anonimes au point de vue civil et fiscal*“ *(Paris — Recueil Sirey* 1931 str. 164). Książka ta zawiera dużo informacyj, aktualnych w dobie dzisiejszej, gdy rozpoczynają się ożywione dyskusje, dotyczące roli spółek akcyjnych, w szczególności zaś wynagradzania ich kierowników. (J. P.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W OCENIE tworów jakiejkolwiek z ludzkich umiejętności najbardziej miarodajnym oczywiście będzie głos fachowca. Tej prawdy bezspornej dziś już nikt zapewne kwestjonować nie zechce, przeciwnie, staramy się, aby znalazła ona jaknajszersze zastosowanie w życiu. Tak też dzieje się i w dziedzinie sztuki, artyści i ludzie naprawdę ją miłujący zawsze walczą np. o to, by i tu w sądach konkursowych zasiadali przedewszystkiem artyści. Gdy tak cenny staje się głos fachowca w sprawach nieraz wielkiej wagi, ze względu na doniosłe często znaczenie nagrody (np. nagroda miasta, państwa i t. d.), lub powagę objektu nagradzanego (np. pomnik), — nie należy wątpić o jego użyteczności i w zdarzeniach bardziej codziennych. Mam na myśli artystę-plastyka w roli sprawozdawcy z wystaw. Jego przewaga nad krytykiem, nie posiadającym przeszkolenia, ani teoretycznego, ani praktycznego jest chyba dla wszystkich oczywista. Nie trzeba chyba dodawać, że wzmocnienie szeregów krytyki plastycznej tego właśnie rodzaju jednostkami jest nad wyraz pożądane. To też z niemałem zdumieniem przeczytaliśmy w ostatnim numerze (Nr. 5, maj) zasłużonego i poważnego czasopisma „Sztuki Piękne“ artykuł, propagujący pogląd wręcz przeciwny. Tytuł artykułu brzmi: „Tow. Art. Polskich „Sztuka“ (z powodu wystawy w Warszawie, luty-marzec 1932 r.) “Ponieważ mam zamiar z jego autorem nieco podyskutować, a nie wiem, kto zacz (artykuł nie podpisany), muszę sobie jakoś sprawę ułatwić. Wystawa sztuki odbyła się w Warszawie, redaktorem na Warszawę jest p. dr. Mieczysław Treter, a więc panie doktorze, może pan będzie łaskaw dotrzymać mi placu. Zaczynajmy. „Życie jest skomplikowane“ powiada Kiedrzyński; dr. Treter podjął się miłej rozrywki i poczyna je upraszczać. Podzielił sobie krytyków na dwa rodzaje: „znawców“ w cudzysłowie i prawdziwych. Prawdziwi znawcy to ci, co wygłosili pod adresem ostatniej wystawy „Sztuki“ parę mniej, lub więcej udatnych komplementów; ci co mieli odwagę wyrazić się o niej ujemnie (p. Czyżewski i ja, artysta-fachowiec) na niczem się nie znają. Mój Boże, jak to fortuna kołem się toczy. Niedawno jeszcze byłem znawcą dla „Sztuk Pięknych” i mając na pieńku z b. dyrektorem Departamentu Sztuki, p. Skotnickim, z satysfakcją przedrukowały one cały mój, dość ostry artykulik o nim (Rok VII, Nr. 4, str. 163). Teraz zostałem zdegradowany. A tak łatwo było tego uniknąć. Wystarczało wziąć sobie za wzór któregokolwiek z wyróżnionych (przez redaktora „Szt. P.“ na Warszawę) recenzentów. Np. jak pani St. Okołów-Podhorska napisać o „Sztuce“ że „każdy z jej członków daje szczytowe punkty swych zamierzeń“, lub za p. Winklerem: „Borowski czuje się tam (w „Sztuce“, przyp. mój) jak kaczka-podlotek wśród starszych wiekiem egzemplarzy kurzego rody“. Ślicznie napisał o tym drobiu. Ja tak nie potrafię. Mniejsza o to, jedźmy dalej, Muszę się przyznać, że mam pewien żal do d-ra Tretera. Wiem, że to człowiek bywały — i z królową Wilhelminą holenderską przy jednym stole siedział, i królom o sztuce polskiej opowiadał, więc myślałem, że się czegoś od niego nauczę, zwłaszcza w zakresie *savoir vivre*'u. Tymczasem on posta-

wił mię w sytuację kłopotliwą. Sam — młody grafik—muszę mu przypominać, iż poprostu nie wypada wyprowadzać wniosków z cudzego artykułu, nie zaznajomiwszy uprzednio czytelników z jego treścią, a tembardziej, bez podania dowodów, czynić mi rozmaite — zobaczymy zaraz czy słuszne — zarzuty. Przytoczono tylko ostatnie z mych słów: „wystawa Sztuki (nie Dunikowskiego!) nagół robi wrażenie smutne i apatyczne“, skreślając, nie bez zręczności, poprzedzające je wyrazy: „to też“, będące właśnie łącznikiem z umieszczonym przed niemi tekstem, który szeregiem objektywnych argumentów i faktów stara się dowieść takiego stanu rzeczy. A może argumenty te redaktor „Szt. P.“ na Warszawę uznał za słuszne i nie przytoczył ich w obawie, aby czytelnicy jego pisma nie przyznali mi racji?.. Nie mam zamiaru używać metod przeciwnika, cytuję więc tekst „Szt. P.“: „P. Podoski, młody grafik, mający w swym dorobku artystycznym zaledwie kilka bardzo skromnych drzeworytów, ma wielką wiarę w swój autorytet“... Poco p. dr. Treter to pisze? Posądzam go o rycerskość i nie chcę przypuszczać, że się tak wyraził, aby tylko chciał wsadzić mi szpilkę, raczej zapewne uważa to za dobry argument. Zgódźmy się na chwilkę na takie rozumowanie. Dr. Treter nie wykonał ani jednego drzeworytu, co wobec tego uprawnia go do pisania? Nie, lepiej, panie doktorze, zawróćmy z tej drogi, w Pana własnym interesie. Oczywiście, wierzę w to, co piszę, nie stosując zasady wielu krytyków: co innego myśleć, a co innego pisać. Co zaś do autorytetu, czytelnicy „Myśli“ zauważyli zapewne często stosowane przezemnie zwroty: wydaje mi się, mam wrażenie, w mojem rozumieniu i t. d., któremi starałem łagodzić sąd ujemny, gdy zaszła jego konieczność. Czy tak postępuje człowiek, uważający się za bezapelacyjny autorytet? Każdy sąd ujemny staram się zawsze uzasadnić, aby nie krzywdzić artysty gołosłownością powiedzeń (patrz chociażby przedostatni, 26-ty numer „Myśli“, gdzie piszę o połączeniu rzeźby z malarstwem u Ślendzińskiego; robię to nawet wtenczas, gdy nizki poziom wystawy w nikim wątpliwości nie budzi (patrz np. moją recenzję z wystawy Badowskiego). Dalej okazuje się, że „zieję poprostu nienawiścią do wszystkiego, co nie mieści się w obrębie rogatek warszawskich“. A więc nienawidzę „Sztuk Pięknych i t. d.“ Znowu pozwolę sobie na parę cytat. W nr. 11-ym „Myśli“ z dnia 6 marca pisałem o tejże „Sztuce“: „czytając w katalogu spis członków towarzystwa, zwłaszcza członków-założycieli, przerzucamy jakby najpiękniejsze karty historji naszej plastyki“. Zdaje mi się, że to już poza rogatkami. O Dunikowskim: „wielki twórca... ofiarował nam tak wiele, że kilku zaledwie współczesnych może z nim się mierzyć“ (Nr. 12, 13-go marca). W numerze 10-tym. Rok VII „Sztuk Piękn.“ czytamy: „wystawa prac szczepu Szukalszczyków spodobała się w Warszawie głównie pp.: J. Kleczyńskiemu, S. Popowskiemu, W. Podoskiemu“... Jakto, podobała mi się? przecież w innem miejscu piszą panowie, że nienawidzę wszystkiego z poza rogatek. Teraz jeszcze o „nienawiści“ do „Sztuk Pięknych“. W recenzji z numeru 8—9 za sierpień-wrzesień piszę: „zeszyt ten powinien liczbę przygodnych nabywców (poza stałymi prenumeratorami) zwiększyć stokrotnie, ściślej rzecz biorąc, stać się własnością każdego, komu sprawy polskiej sztuki nie są obce. Przynosi on bowiem liczne i świetne reprodukcje dzieł i t. d.“... („Myśl“ nr. 52, rok XI). Dziwnie jakoś ta nienawiść wygląda.

To, co przytoczyłem dotychczas, zostało skierowane wyłącznie pod moim adresem, więc nie wiem, jakie ustępy odnoszą się do p. Czyżewskiego, a jakie do mnie, gdyż jego artykułu w oryginale nie czytałem. Mamy tu jeszcze fragment, który bezwątpienia odnosi się do nas obu: „Jest to komiczne nieporozumienie, gdy taki pan płatny od wiersza“ (do nas pije, panie Tytusie) „więc piszący dla zarobku, po największej części bez poważniejszych kwalifikacyj“... Racja. Przyznajemy się. Zgarniamy forsę, skąd się tylko da. Rotszyld wobec nas, to szczeniak. A może i pan, panie redaktorze na Warszawę, ogłosi urzędowy wykaz swych miesięcznych zarobków, wówczas zobaczymy, kto jest większym idealistą?

Załączone następnie wskazania, jakim powinien być krytyk, są w zasadzie słuszne, szkoda tylko, że ich autorzy sami niechętnie stosują je w życiu. Czytamy np.: „A sprawozdawca artystyczny powinien sobie zdawać sprawę, że sąd o dziełach sztuki, oparty wyłącznie na upodobaniach chwilowych i osobistych sympatjach (podkreślenie moje)... jest efemerydą“. Oj to to, należy o tem pamiętać przy urządzaniu wystaw sztuki polskiej zagranicą! Krytyk „powinien podchodzić do dzieła sztuki jak przyjaciel, z radością. Powinien cieszyć się wystawą, bo na każdej wystawie można znaleźć rzeczy uwagi godne“. Czy w ten sposób „podchodzili“ panowie do wystawy Szukalszczyków w Warszawie? Na zakończenie jeszcze jeden argument, także kulą w płot: „Może nie będzie pozbawioną pikanterji wiadomość, że w galerjach publicznych całego świata (poza Polską naturalnie) znajduje się 42 obrazów i 4 rzeźby polskich artystów, a z tego 31 obrazów i 3 rzeźby przypadają na członków T-wa „Sztuka“. To jest wymowne“. Owszem, bardzo. Ale o ostatniej wystawie „Sztuki“ nic nie mówi.

WIKTOR PODOSKI

NOWE KSIĄŻKI

Rybarski Roman. Przyszłość gospodarcza świata. Warsz. 1932. „Gaz. Warsz.“ S. 228.

Giertych Jędrzej. O program polityki kresowej. Z przedmową Al. Dębskiego, b. wojewody wołyńskiego. Warsz. 1932. „*Patria*“ S. VIII i 148.

Birkemajer Józef. Wycieczka. Poezje. Warsz. 1932. Dom Książki Polskiej.

Rudnicki Mikołaj. Śpiewy lechickie. Marzenie i rzeczywistość. Poznań i Warszawa.

Bujak Franciszek. Rozwój nauki polskiej w latach 1800—1880. Warsz. 1932. Odbitka z Nauki Polskiej t. XV.

Zdziłowiecki Jan. Naprawa pieniądza włoskiego. Poznań 1932. Dom Ks. Pol. S. 207.

Hołówko Tadeusz. Ostatni rok. Warsz. 1932. Książnica Atlas S. 127.

Kamykowski Ludwik. Smutki Juljana Ursyna Niemcewicza w więzieniu moskiewskiem pisane do przyjaciela. Lublin 1932. Tow. Prz. nauk w Lublinie. S. 45.

Załuski Bron. Wspomnienia i refleksje na tle przebiegu walki o szkołę polską (1905 — 1930). Warsz. 1932. Ks. Atlas. S. 37.

Lipiński Franc. Wrażenia. Poezje. Kraków 1930. „Niepodległość“ T. VI zesz. I.

Leon Wyczółkowski. Księga pamiątkowa, wydana w 80-ą rocznicę urodzin. Poznań 1932. S. 77 z ilustr.

Muron Jan. Wyspa Hispaniola. Powieść.

Salgari Emilio. Dramat na oceanie Spokojnym. Z ilustr.

Knox Ronald. Czyja ręka? Powieść.

OFENSYWA

TALENT NA ROZDROŻU

NIE TAK DAWNO znów osiadła pani Zofja Kossak-Szczucka-Szatkowska w Gorkach Wielkich pod Beskidami, a już trzecią książką o swojej przybranej dzielnicy obdarza ogół polski i nas, dawnych, pierwszych jej szczerozłotego talentu adoratorów i głosicieli. Już to trzeba przyznać i utrwalić (dla przykładnego naśladownictwa), że za to jej przygarnięcie i przytulenie, za ten azyl i kawał ziemi w przepięknym Polski zakącie... odwdzięcza się z nawiązką, szczodrobliwie, po królewsku. Jest coś naprawdę wzruszającego w tym pośpiechu, w tej skwapliwości, jaką roztacza pisarka, byle tylko wykazać niezbicie i chlubnie, że żadnych długów wdzięczności nigdzie mieć nie chce, że rewanżuje się natychmiast, że za tę zieleń, za ten dworek, Tusculum, dach nad głową, za... nadobne pięknem opłaca i bez reszty.

Nie tak to dawno było mocne, drzeworytowe „Legnickie Pole", potem „Wielki i Mały", a teraz już „Kraj Nieznany".

To też z kapeluszem w ręku, z akcentem szczerej wdzięczności godzi się hołd złożyć dzielnej dziedziczce z Górek Wielkich za ten jej nowy mozoł, za te jej nieprzespane noce, za te jej w foljałach historycznych grzebania i za ten jej męski, dojrzały, poważny i (użyjmy tu wyjątkowo wyświechtanego terminu) państwowotwórczy światopogląd. Oby jej ostatnia książka przeszła przez opłotki dzielnicowe, wydostała się z kręgów normalnej konsumpcji czytelniczej, zbłądziła pod strzechy, znalazła się w pałacach i dotarła do tej, też męskiej inteligencji, która stale i konsekwentnie nic a nic nie czyta. Oby potem, po pewnem skorygowaniu i skróceniu, przetłumaczona przeszła i na Europę...

Życzymy jej tego z pełną lojalnością, aczkolwiek również w pełni zdajemy sobie sprawę z obciążeń negatywnych i z pewnego... grzechu, grzeszku pierworodnego, z którego się zrodziła...

Mówmy szczerze i jasno, bo inni na to się nie wysilą. Albo będą podchlebczo prawili odrazu o „drugim Sienkiewiczu" (co pięć lat bywał „drugi Sienkiewicz") i o „popularności w Europie"... albo będą półgębkiem przemilczali, albo znów hyperkrytycznie a łatwo doszukiwali się usterek artystycznych, jako ten *par exemple gourmand* z... „Gazety Polskiej"...

Jaki był punkt wyjścia, idea — matka: dać jaknajprędzej spółczesnym, tutejszym i nie tutejszym, swoim i obcym jakieś *compendius* czy *vademecum* dydaktyczno-historyczne, możliwie całokształtne, przystępne i szerokim rzeszom *(vulgus)*, a nie drażniące... Horacego i Choracjuszów. I stąd te aż 22 utworów, stąd ta mieszanka rodzajowa, *potpourri* beletrystyczno-publicystyczne, wykrawki czy wycinanki, nie pogłębione wiedzowo notatki, artystycznie nieco puszczone wizerunki, „błyskawiczne" zdjęcia zamierzchłości, pobieżne w rysunku fragmenty, naprędce skombinowane konflikty i scenki, podręcznikowe pastisze i klisze, że zaś to kobieta pisała, więc niby — mizogynicznie powiedzmy sobie... czasami nawet jako te robótki damskie *(Stikereien)* czy fatałaszki dorywczo pofastrygowane, względnie... marynaty... „weki"... z „Lesefruchtów". Dwadzieścia dwa dania w jednym tomie stanowczo za dużo. Dziesięć byłoby starczyło. Byłoby mniej, byłoby więcej; trzy większych rozmiarów biograficzne nowele: „Miarka", „Stalmach", „Londzin"... Byłoby mniej... byłoby znacznie więcej... Hauptman napisał: „Tkaczów"... R. Bazin: „Oberlé"...

No, ale inne było założenie... Nie *sub specie aeternitatis* i nie *aere perennius.* Propagandowy utylitaryzm. *Fugit hora.* Co może przynieść złowrogie, złowieszcze jutro? Trzeba się śpieszyć.

I wielka powieściopisarka zaprzęgła się w jarzmo aktualnego musu, politycznych konieczności, po dawnemu „ku pokrzepieniu serc"... Jak jest Żeremiasza: „Wiatr od morza" tak niech będzie... Pieśń o ziemi naszej... śląskiej... Nie „Rodzina Oberlé", nie „Tkacze", nie „Tartarin z Taraskonu"... nie Sycylja Gracji Deleddy, ale antologja, *sui generis*... mieszaninka; takie same historyczne „szkicowniki" daje z... „Pomerellen" w duchu staropruskim Kaethe-Schirmarcher...

I to jeszcze byłoby do zaaprobowania i nawet do aplaudowania. Rdza nie tutaj. Garb gdzieindziej. Oto „Pożogę" pisała Kossak-Szczucka, zaś ostatnie dzieła i drobiazgi pisze kapitanowa Szatkowska, zmimikryzowana i zakomodowana do t. zw. „Elity". *Cuius regio eius religio* niestety. Mieszka świetna stylistka na Śląsku ale do Ślązaków nie schodzi i ich aktualnej tragedji nie zna. Informują ją o nich i instruują tacy wmieszkali *(metojkoi)* jak wojewoda z Gdowa, jak p. Kurzydło, Malhomme z Bytomia, p. Saloni Ręgorowicz... „krakowska szkoła"... I stąd, niestety, to coraz grubsze partyjnictwo i stąd to pełne solidaryzowanie się z napływem czy najazdem i stąd nuta pewnej sztucznej, za świeżej, neofickiej, dętej afektacji, lokalnego patrjotyzmu, no i wreszcie już całkiem niedopuszczalny, bo niesmaczny panegiryzm dla... patronów i „smuci wielce miłościwych dobrodziejów"... *from darkest Lodomerry.*

Nieznany „Kraj" kończy się eulogą ku czci „p. Grażyńskiego", całkiem na wzór takich epitalamjów z ery saskiej (str. 268):

„Inne poczynania cywilizacyjne wyrażają się w cyfrach:

16 kościołów,
193 klm. szosy asfaltowej lub smołowcowej,
863 m. mostów żelazo-betonowych,
50 klm. zregulowanych rzek,
200 klm. kolei żelaznych."

Na ten dworski rewerans odpowiemy pani Kossak-Szatkowskiej cytatą ze słynnej już dziś książki Oertzena „*Das ist Polen*" (str. 86):

„Korfanty, widząc groźną sytuację, zwraca się o pomoc do Francuzów, którzy i tym razem zadość uczynili jego żądaniom. Posypała się cała masa not dyplomatycznych między Paryżem a Berlinem, które sprawiły, że Międzynarodowa Komisja w Opolu znów zaczęła urzędować. Gen. Le Rond przesłał przez pułk. Caput'a gen. Höferowi ultimatum z żądaniem, by natychmiast rozbroił i rozwiązał podległe mu formacje. Tymczasem udało się Korfantemu i oficerom polskim zorganizować na nowo rozpierzchłe oddziały („*Horden*") powstańców i uczynić je zdolnemi do dalszej walki...

Dwie piąte obszaru plebiscytowego z miastami: Lublińcem, Tarn. Górami, Król. Hutą, Katowicami, Mysłowicami, Rybnikiem i Pszczyną. Okrągły miljon Ślązaków dostał się pod panowanie polskie. Odstąpiony obszar wynosi 321.342 hektarów. Dalej dostało się Polsce 22 huty cynkowe, 11 kopalń ołowiu, 23 hut żelaza, 53 kopalń węgla, 12 kopalń żelaza i t. d."

To samo pani może przeczytać w setkach książek, broszur, artykułów we wszystkich językach świata.

Torpedować więc Korfantego kalumnjami można. Przemilczeć także można. Ale przeciwstawiać Korfantemu aktualnego i konjunkturalnego... potentata z Gdowa (pod Ropczycami) to już jest śmieszne i graniczy z trywjalnością. I niema takich i tak wielkich nagród, za jakie godziłoby się „bagatelizować"... historyczną prawdę i rzeczywistość, a dla przemijających efektów i emocyj z p. Kurzydły, równocześnie robiąc Medyceusza i Piotra Wielkiego na małą skalę...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

„Kurjer Wileński" (nr. 128) przytacza nowy dowód, jak żywiołowo biedne miasteczka kresowe zdobią się monumentami:

„W miasteczku Nowa Mysz obok Baranowicz, w dniu 12 czerwca nastąpi uroczyste odsłonięcie pomnika Marszałka Piłsudskiego, wybudowanego (pomnika—prz. Red.) z inicjatywy komendanta posterunku P. P. przodownika Jurkiewicza, sumptem społeczeństwa gminy Nowomyskiej. W uroczystości odsłonięcia pomnika Pierwszego Marszałka Polski weźmie udział pan wojewoda Kostek Biernacki. Przybędą również prawdopodobnie z Warszawy dostojnicy wojskowi i cywilni".

Główna rzecz — to inicjatywa, a sumpt się znajdzie z łatwością.

*

Dalekośmy zaszli. Syjonistyczny „Nasz Przegląd" (z d. 8 b. m.) podaje interpelację klubu żydowskiego w Sejmie w sprawie nauczyciela szkoły powszechnej w Boremlu, któremu zarzuca, iż wykładając dzieciom o Wielkopolsce, „wymienił też dane statystyczne, wskazujące, jak liczba żydów znacznie się tam zmniejszyła", a mówiąc o dziejach Polski „głosił, że dawniejsze Państwo Polskie popełniło błąd, gdy po inkwizycji hiszpańskiej, kiedy żadne państwo nie chciało puścić żydów, otworzyło im swe wrota"...

Daleko sięgają pretensje żydowskie w Polsce „wysanowanej". Więc już polski nauczyciel ma dla przypodobania się żydom fałszować statystykę, ukrywając wyparcie żywiołu żydowskiego przez polski w Poznańskiem i na Pomorzu, więc ma jawnie fałszować historję, obrażać zdrowy sens i godność narodową twierdzeniem, że osiedlenie się obcego żywiołu w Polsce mogło być dla nas pożyteczne?

Wszystkie najprzykrzejsze dla żydów wypadki w historji z tego mianowicie wynikały, że mając w pewnych chwilach decydujący wpływ na „sfery decydujące", nie umieli nigdy zachować miary w arogancji swych żądań...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.